



ROK  
XVI  
(841)

51/52

Wesołych Świąt  
i Szczęśliwego Nowego  
Roku Życzy CZYTELNIKOM

REDAKCJA



# ODGŁOSY

ŁÓDŹ, 20 GRUDNIA 1973 ROKU

TYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

## ZA NASZĄ POMYŚLNOŚCI!

Kończy się 1973 rok i już za kilka dni nadejdzie Nowy Rok — 1974. Jak każda dobra tradycja przed nadejściem Nowego Roku należy ocenić to, co zrobiliśmy w starym i życzyć pomyślności w nowym. Nie chcemy jednak wracać do tego, co robiliśmy w roku odchodzącym. Ocenę pozostawiamy Czytelnikom. Staraliśmy się robić jak najlepiej. Nie wszystko nam się udawało, ale nie rezygnujemy. Będziemy nadal dążyć do tego, aby nasz tygodnik był coraz ciekawszy, aby sprawy, które będziemy podejmowali interesowały ogół Czytelników, aby pomagały im w rozumieniu współczesności, pomagały w przyspieszaniu tempa pracy, tempa naszego życia.

Cieszy nas fakt, że otrzymujemy coraz więcej listów i to zarówno takich, w których Czytelnicy nie zgadzają się z nami, jak i takich w których proponują nowe tematy, wnoszą coś nowego do spraw poruszanych przez „ODGŁOSY”, a także i takie, w których prosi się nas o pomoc i interwencję. Stara prawda głosi, że tylko to pismo spełnia swoją rolę, które otrzymuje listy od Czytelników, które utrzymuje stałą więź z nimi. Dziękujemy więc za te wszystkie listy, które nadeszły w ubiegłym roku, jak też dziękujemy z góry za te, które napiszecie w przyszłym — 1974. Czekamy na nie!

Ten numer, który przygotowaliśmy na święta, a który oznaczyliśmy 51/52, jest ostatnim numerem „ODGŁOSÓW”, jaki ukazuje się w 1973 roku. Następnym ukazuje się już w 1974 roku, z datą 3 stycznia. I choć do Nowego Roku, do godziny 24 ostatniego dnia grudnia 1973 roku pozostało jeszcze kilka dni, pozwólcie, że złożymy Wam serdeczne życzenia: SZCZĘŚCIA, RADOŚCI I POMYŚLNOŚCI w przyszłym roku.

Składamy Wam serdeczne życzenia nie tylko dlatego, że tak każda tradycja, ale przede wszystkim dlatego, że i SZCZĘŚCIE, i RADOŚĆ i POMYŚLNOŚĆ będą w przyszłym roku zależały od nas wszystkich, od naszej pracy, od naszych umiejętności, doświadczenia, inwencji, od tego, jak potrafimy spożytkować to wszystko, czym już dziś dysponujemy. Szczęście każdego z nas zależy bowiem od szczęścia wszystkich, od wysiłku nas wszystkich, od naszej troski o naszą wspólnotę. Nie przynieście nam tego Święty Mikołaj w worku z podarkami. Nie da nam nikt niczego, jeśli sami sobie tego nie damy: codzienną pracą.

I choć do sylwestrowych balów i noworocznych toastów jeszcze daleko, proponujemy wnieść symboliczny toast: ZA NASZĄ WSPÓLNA POMYŚLNOŚCI!! ZA TO WSZYSTKO, CO SAMI OSIĄGNIEMY!! ZA TO, NA CO NAS STAC, A CZEGO NIE WOLNO NAM ZMARNOWAĆ!! ZA NASZĄ POMYŚLNOŚĆ, KTÓRA OD NAS TYLKO ZALEŻY!! DOSIEGO ROKU!!!

ODGŁOSY



Fot. W. Parys

RYSZARD BINKOWSKI

## TERESKA OD HUBAŁA

Trudno zapomnieć te wzruszające obrazy z filmu o Hubalu. I tamtych ludzi. Takich właśnie ludzi miały biedne koneckie wioski i tacy żyją w nich nadal. Przekonałem się o tym, kiedy któregoś śnieżnego dnia grudniowego dotarłem do zagubionej wśród lasów wsi CIS.

Trochę niepewnie wszedłem do obejścia sołtysa, gdyż dwa psy obtańcowywały mnie z jazgotem, ale zaraz na progu pojawiła się drobna, trochę zalekciona kobieta i wprowadziła mnie do niskiej izby. Jasnowłosy chłopiec, syn sołtysa Kowalskiego, wypuścił z rąk kota, który umknął na okap, wiszący nad kuchnią w rogu izby.

— To nasz najmłodszy — mówi sołtysowa, TERESA KOWALSKA — bardzo dobrze się uczy, ale lubi swawolę. A pan pewnie do męża, prawda? Poszedł do klubu po papiery. Jak pan poczeka, to mały skoczy po niego.

Wsadziłem chłopca do samochodu i po kilku minutach przybył sołtys, STANISŁAW KOWALSKI. Kiedy wyjawiałem, z czym przybywam do Cisu, zgodził się odszukać ludzi, z którymi chciałbym rozmawiać. W międzyczasie spytałem Kowalską, czy była na „Hubalu”. Kobieta drża wargi, mówiłamiącym się głosem:

— Byłam, proszę pana, ale mam słabe serce i jak zobaczyłam ten dół i tych spychanych tam ludzi, to zaraz zemdlalam...

PIOTR KOWALSKI jest szczupłym, o ogorzalej twarzy, 52-letnim mężczyzną. To brat sołtysa. Okazuje się najlepszym rozmówcą. Mówi dużo, ale nigdy nie używa imienia TERESKA. Dla niego łączniczka TERESKA pozostała w pamięci jako Maryśka, dziewczyna z tego drugiego domu, zaraz za Rojkiem, z którą spędził wspólnie biedne dzieciństwo.

— Więc pan jest niemal rówieśnikiem Marianny Cel — mówię.

— Niezapamięć. Maryśka była urodzona w 1917 roku.

Coś tu się nie zgadza. Z informacji zamieszczonej w jednym z centralnych czasopism wynikało, że łączniczka Tereska, czyli MARIANNA CEL, urodziła się w 1919 roku. Kierownik USC w Rudzie Małenickiej bez wahania podał mi księgę metrykalną z 1919 roku. Mówię gospodarzom, że zapis musi być prawdziwy; że co prawda karty już pożółkłe i zblakły atrament, ale wyraźny podpis księdza Bijasewicza. Cytuję fragmenty.

„Działo się to w Lipie dnia dziewiętnastego stycznia tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku o godzinie pierwszej po południu. (...) i okazał nam dziecko płci żeńskiej (...) Dziecięciu temu na chrzcie świętym w dniu dzisiejszym odbyłym nadane zostało imię Marjanna (...)”

— Panie, to musi być jakaś zmyłka — upiera się Piotr Kowalski.

— A jak było na imię rodzicom? — pyta inny rówieśnik Marianny, FRANCISZEK DUDZIK.

— Antoni Cel i Paulina z Leśniaków.

Dalszy ciąg na str. 7

W 1970 roku miesiąc wielkiego muzułmańskiego postu Ramadan wypadł w okresie naszych przygotowań do świąt Bożego Narodzenia. Zakończenie Ramadanu przypadło pod koniec grudnia, kiedy my, Europejczycy, oczekiwaliśmy nadejścia Gwiazdki.

Roziskrzona słońcem białe miasto Algier na miesiąc stały usnęło i zamario. Uczestnicy nocnych libacji (gdź jak wiadomo w czasie Ramadanu wolno jeść tylko od zachodu słoń-

## ALGIERSKA „WIEŻA BABEL”

EWA BEKIER

ca do świtu) spali na ulicach, skwerach, w miejscach pracy — sklepach, biurach, gdzie się dało. Senny tłum leniwie przelewał się ulicami miasta, chroniąc się w podcieniu przed palącymi promieniami grudniowego słońca. Nie na darmo już w czasach przedmuzułmańskich nadano dzielątemu miesiącowi księżycowemu nazwę: palący czyli ramadan.

Dalszy ciąg na str. 4

## MÓWIĄ O RODZINIE

ELŻBIETA I LESZEK

PODBIELSCY

— pracownicy Politechniki Łódzkiej

ELŻBIETA: Jak sięgam pamięcią, u mnie w rodzinie ojciec był najważniejszy. Pracował, zarabiał. Matka zajmowała się domem. W rodzinie, którą ja założyłam, jest już inaczej. Pracujemy oboje z mężem i oboje zajmujemy się domem. Czasem pomaga nam w tym niezawodna babcia. Kiedy porównuję rodzinę, w której ja się wychowałam, z dzisiejszą, chociażby moją własną, to wydaje mi się, że ta współczesna jest bardziej zapracowana, ma niezmierznie mało czasu dla siebie.

LESZEK: I chyba bardziej niestabilizowana. Głównym chyba powodem jest mieszkanie. Młode małżeństwo czeka na nie kilka lat. Otrzymuje w końcu przeważnie M-3. Później przychodzą dzieci i oczywiście problem ciasnoty. I znów parę lat przed sobą z potężnym obciążeniem finansowym. Jesteśmy 8 lat po ślubie i właściwie cały czas pracujemy na mieszkanie.

ELŻBIETA: Sprawa druga to ilość dzieci. Pięse się i mówi wiele na ten temat. 2+1, 2+2. Myślę, że wielkość rodziny powinna być uzależniona od czasu, jaki rodzice mogą poświęcić na wychowanie. To przecież nie może być tego rodzaju układ, w którym — żłobek, przedszkole, szko-

## ANDRZEJ MAKOWIECKI POLSKI DZIEŃ W BUCCHARZE

(Korespondencja

— Uzbekistanu)



Fot. Archicum

Jest zasada, żeby nie chorować za granicą, ale jest również reguła, że właśnie tam czepiają się nas rozmaite nieszczęścia. W nocy pozulem gorączkę. Rankiem miałem już blisko trzydzieści dwięć. Gwałtowne zmiany temperatur i przetasowania w czasie dały o sobie znać, choć, prawdę mówiąc, lekka angina

Dalszy ciąg na str. 3

Dalszy ciąg na str. 7

















Dalszy ciąg ze str. 6

Zostaliśmy w piątkę.  
— Tak już jest w życiu, młodzi mają własne sprawy — powiedziała Rosiak. — Krzysiek odsłuży w wojsku i będzie pewnie myślał o własnej rodzinie. Oli placimy na mieszkanie spółdzielcze. Skończy szkołę i będzie mogła się usamodzielniać. Ulę zostawimy przy sobie.

— Bo to jest ukochana córka taty.  
— Czekamy na mieszkanie w blokach — ciągnął dalej Rosiak. — Należy się nam już od kilku lat, ale terminy stale się zmieniają. Teraz mamy już przyrządzone na piśmie, że dostaniemy w przyszłym roku. Byłem nawet sprawdzić, czy jesteśmy na liście, ale jeszcze nie wywiesili, bo to teraz po wyborach i zmianach w radach — powstało trochę zamieszania. Ale jak przyrządzone, to powinno być.

— Ciasno tu u nas — powiedziała babcia Wawrzyniakowa — a jak się rozstawi wszystko do spania, to nie ma gdzie się poruszać. Ale jakoś żyjemy. Spokojnie, zgodnie. Wprawdzie nie zawsze mamy taki wieczór jak dziś, żeby wszyscy byli w domu. A przyjemnie jest tak sobie porozmawiać, powspominać, jakoś człowiekowi robi się lżej na sercu. Patrzy na swoje życie i widzi, że nie było tak źle. Dzieci mam dobre, a i wnuki wychodzą na ludzi. Z Krzysiem i Ulą nie ma kłopotów, tylko Ulkę trzeba trochę przyglądać w nauce.

— Syn chce iść w ślady ojca, starsza córka wybrała zawód matki — powiedziała.

— To, że wybrała dzielnictwo, to nie tylko mój wpływ. Zdecydowała o tym sama. Powiedziała: — Teraz w gazetach piszą, że największą przyszłość przed dzielnictwem. Wybrała sobie ten zawód i chyba dobrze zrobiła.

Telewizor dawno wyłączony. Wszystkich ucieszyła wygrana Ruchu, ale zdążyliśmy już o tym zapomnieć. Urszula bawiła się z chomikiem i opowiadała, jakie to miłe zwierzątko. Przypomniała też ojców, że od mają obiecywać akwarium dla Snieżki. Więc może teraz, na gwiazdkę, wreszcie kupi.

Zrobiło się późno i zaczęłam się z Rosiakami żegnać. Miło było u nich, jakoś tak przytulnie i serdecznie. Poznałam zwykłą, łódzką rodzinę, jakich na pewno wiele. Ludzi sympatycznych, zapobiegliwych, lubiących swoją pracę, szanujących się wzajemnie. Mają kłopoty. Jak wszyscy. Ale jest w ich domu atmosfera życzliwości i pogody, jest to, co ułatwia tę spórę przeciw rodzinie życie na co dzień. Warto było poznać Rosiaków.

— Niech pani odwiedzi nas latem — powiedziała na pożegnanie babcia Wawrzyniakowa. — Proszę przyjechać do nas na działkę, tam naprawdę jest bardzo ładnie. Tyle kwiatów, a i truskawki u nas się znajdują. Jest też bardzo ładna altana. Zięć ją zbudował. On wszystko potrafi. Mieszkanie też odremontował, jak się tutaj sprowadziłam.

— Serdecznie zapraszamy — powiedziała Rosiakowa.

— Tylko jak pani trafi? — zapytała się nagle babcia Wawrzyniakowa. — Przecież latem możemy mieszkać już w blokach.

— To nie trudnego — powiedział spokojnie Rosiak — wystarczy zadzwonić do X Oddziału Łódzkiej Straży Pożarnej, tam już powiedzą.

BOGDA MADEJ



Fot. Archiwum



Fot. W. Parys

## ANTONINA KŁOSKOWSKA

W 1945 roku Antonina Kłoskowska rozpoczęła studia na Uniwersytecie Łódzkim. Studiowała socjologię. Tutaj też w 1950 roku uzyskała tytuł doktora i z Uniwersytetem Łódzkim związana jest do dziś, gdzie jako profesor kieruje pracą Zakładu Socjologii Kultury.

Od 1952 roku, kiedy to zlikwidowano socjologię nie tylko na Uniwersytecie Łódzkim, pracowała w Polskiej Akademii Nauk. W 1957 roku powróciła do Łodzi, na Uniwersytet, pracując nadal do 1961 roku w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. W 1961 roku została kierowniczką katedry na UL. Obecnie jest przewodniczącą Komitetu Nauk Socjologicznych Polskiej Akademii Nauk.

Profesor Antonina Kłoskowska interesuje się głównie socjologią kultury, prowadzi też badania nad współczesną rodziną. Zajmuje się naukową analizą przeobrażeń jakie wynikają w społeczeństwie społeczeństwie z postępującej demokratyzacji kultury. Kultura interesuje ją przede wszystkim jako czynnik wizerunku społecznej. W swoich pracach naukowych i licznych publikacjach wiele uwagi poświęca też wzorcom kulturalnym, jakie kształtują się w najmniejszej grupie społecznej — rodzinie.

W jej dorobku naukowym znajduje się wiele cennych publikacji. Wydała przeszło 150 artykułów i cztery książki: „Machiavelli jako humanista”, „Kultura masowa”, „Z historii socjologii kultury”, „Społeczna rola kultury”. Wychowała też liczną rzeszę socjologów. Jest członkiem wielu stowarzyszeń naukowych. Członkiem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, sekretarzem Komitetu Oświaty i Kultury w Międzynarodowym Stowarzyszeniu Socjologów, członkiem Krajowej Rady Kobiety oraz członkiem Rady Naukowej przy Urzędzie Wojewódzkim w Łodzi. Była też członkiem Komisji Prognozowania przy Ministerstwie Kultury i Sztuki.

Jej ostatnia książka „Społeczna rola kultury” została wpisana do Księgi Czynów i Osiągnięć Nauki Polskiej. Otrzymała też nagrodę I stopnia ministra kultury i sztuki, a ostatnio nagrodę Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej.



Fot. W. Parys

## ANDRZEJ OLCZAK

Tego dnia, kiedy wręczano mu pamiątkowy dyplom, nadano tytuł honorowego członka Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, kiedy zgromadzeni na specjalnej akademii ludzie z „Wifamy” bili mu długo brawo — radzi bardzo, że „to nasz chłopak tak się spisał”, kiedy w jednej garści trzymał bukiet kwiatów, a druga wylewnie ścisłał mu przedstawicieli dyrekcji, władz dzielnicowych, wojska i milicji — tego wrześniowego dnia 1973 roku Andrzej Olczak na pewno nigdy nie zapomni.

Ale ten niewysoki — raczej drobny, 25-letni robotnik z „Wifamy” nie zapomni także innego dnia. Tamtej marcowej niedzieli, kiedy to wracał z żoną z wizyty u rodziców...  
— „Tramwaj ruszył, przejechalimy jeden przystanek i nagle ci dwaj podpici mężczyźni, których zawiadanie zachowanie rzucało się nam już wcześniej w oczy, wstali i poszli na pomoc. Za chwilę zobaczyłem tam szamotaninę, wyglądało, że napadli na tego młodego — najwyższej 16-letniego chłopaka, który czekał wtedy i wsiadł do tramwaju na

przystanku razem z nami. Niewiele myśląc ruszyłem za nimi. Bill go rzezywiście. Stał wciśnięty w kąci przy drzwiach przez które lada moment mógł wypaść na tory...  
Wskoczyłem między niego, a tych bijących go drani i wówczas dostałem cios w żołądek, a po chwili poczułem ciepło na twarzy i usłyszałem przeraźliwy krzyk żony: „Zatrzymać tramwaj!” Zresztą zaraz zobaczyłem ją obok siebie. Nie podbiegł nikt inny... Zdażyła tylko ona. W wagonie było wówczas jakieś 10-12 osób, w tym paru mężczyzn. Możliwe, że ja pierwszy zauważyłem tę bójkę, i że nikt na nią nie zdążył zareagować, ale najgorzej, że potem...”

Andrzej Olczak nie zadawał sobie wówczas żadnych pytań, nie rozważał jakichkolwiek za i przeciw. Instynktownie, odruchowo zrobił to, co zrobić należało — STANAŁ W OBRONIE napadniętego chłopca. Ale ani chłopcu, ani jego obrońcy nie pomógł nikt, a nastąpiły, którym nikt również nie potrafił skutecznie przeskodzić w ucieczce — zbiegli...

Jego nazwisko znalazło się jako pierwsze w założonej niedawno z Inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Łodzi specjalnej księdze z nazwiskami tych łodzian, których czyny pomagają nam wierzyć w bezinteresowną pomoc, poświęcenie, odwagę. Jednym z takich bohaterów dnia powszedniego jest właśnie ANDRZEJ OLCZAK, a wobec tak licznych jeszcze przypadków znieczulicy, bezduśności, bierności i obojętności w wielu wypadkach naruszania prawa i zasad społecznego współżycia Jego postawa i zachowanie zasługują z pewnością na wyróżnienie i szacunek.



Fot. Archiwum

## HENRYK RUDNICKI

Co najmniej dwa pokolenia czytelników „Głosu Robotniczego” znają redaktora Henryka Rudnickiego z felietonowego cyklu „Ze środy na piątek”, sygnowanego kryptonimem „Henryk”. Jest już dziś tych felietonów około dwóch tysięcy. Nazywamy je umownie felietonami, ale przecież w tej rubryce znajdują się i reportaże (zarówno z Łodzi starej jak i współczesnej), i rozprawki publicystyczne i obrazki z elementami literackiej fikcji i miniatury „story”... Felietonowy cykl Henryka Rudnickiego, dodajmy — najdłuższy tego rodzaju cykl w całym dziennikarstwie Polski Ludowej — prezentuje olbrzymią żywotność pisarską i niesłychaną swobodę w operowaniu każdym właściwie rodzajem dziennikarskim.

Czytelnik wszakże nie zagłębia się w tajniki pisarskiego warsztatu. Czytelnik, którego żywe zainteresowanie towarzyszy od prawie trzydziestu lat felietonom „Ze środy na piątek” — znajduje nieodmiennie w tych tekstach ogromny ładunek wiedzy, refleksji, obserwacji...

Redaktor Henryk Rudnicki należy do tych rasowych dziennikarzy, dla których emerytura nie bywa nigdy końcem działalności twórczej. Dlatego też od jakiegoś czasu popularny „Henryk” publikuje na łamach „GR” swój drugi cykl będący swoistą próbą popularyzacji polskiej historii, która zawsze była pasją red. Rudnickiego. Ale największą popularność i uznanie czytelników zdobył „Henryk” swoim ogromnym cyklem: „Ze środy na piątek”. Cyklem, będącym nieprzebraną kopalnią informacji, wiedzy i dokumentów na temat Łodzi, jej przeszłości i współczesności. Do tych setek felietonów musi sięgnąć każdy, kto będzie chciał poznać obraz miasta. Aż dziw, że jak dotąd nie ukazał się solidny wybór tych cennych i ciekawych publikacji.

Redaktor Henryk Rudnicki rozpoczął pracę dziennikarską w „Kurierze Łódzkim”, przed prawie czterdziestu pięciu laty. Nikogo nie dziwi, że także pierwsza łódzka gazeta Polski Ludowej „Wolna Łódź”, wydana już 24 stycznia 1945 roku — także zawięcza swoje powstanie m. in. Henrykowi Rudnickiemu. Zrazem potem przeszedł on do organizującej się gazety PPR „Głos Robotniczy”. Przeprowadził tu na różnych stanowiskach ówczesnej redakcji, ostatnio redagował największą bodaj kolumnę „GR” — dział miejski.

I właśnie w „Głosie Robotniczym” nie tylko dał się poznać jako organizator najbardziej nośnego działu informacji, ale także jako wychowawca wielu młodych dziennikarzy. Dowodem uznania dla red. Rudnickiego był przyznany mu przed paroma laty Order Sztandaru Pracy — właśnie za jego wioletołną pracę wnoszącą istotne wartości do dorobku polskiego dziennikarstwa.



Fot. W. Parys

## KONSTANTY RYCHTIK

Powiadają o nim, że ma złote ręce. Dłonie ma duże i jakby niezdarne, weterannie umazane smarami. Ale w zetknięciu z uszkodzoną maszyną jego palce nabierają nieoczekiwanej zręczności i ruchliwości. Nie ma takiej awarii, z którą nie potrafiłby sobie poradzić. Dzięki niemu sprzęt na budowie jest pełnosprawny.

Jego macierzystą firmą jest „Hydrobudowa — 6” z siedzibą w Warszawie, przedsiębiorstwo specjalizujące się w montażu rurociągow. Od paru lat buduje ważne przedłużenie inwestycji sulejowskiej: stację uzdatniania wody i rurociąg, którym woda z Pilicy popłynęła do łódzkich mieszkań. Teren jest trudny, gliniasty, budowie nieustannie zagraża woda gruntowa, która wypływa w najmniej oczekiwanym momencie. Nic dziwnego, że często psuje się sprzęt, nawet ten najcięższy. Kiedyś tego sprzętu było więcej, między innymi dźwigi boczne. Teraz na budowie pracuje siedem spycharek, dwie koparki, jedna samoladowarka. Nad tymi maszynami sprawuje pieczę Konstanty Rychtlik jako brygadziści ciężkiego sprzętu. Ma do pomocy trzech innych pracowników, ale to często za mało ręk do usunięcia awarii, kiedy trzeba dźwigać ciężkie podzespoły wymieniające uszkodzone na pełnosprawne. A przecież napraw nie dokonuje się w ciepłym warsztacie tylko najczęściej w szczerzym polu, na śniegu, deszczu, mrozie.

Konstanty Rychtlik urodził się w Białej Podlaskiej i tam zdobył zawód monter-mechanika w przemyśle lotniczym. We wrześniu 1939 roku jego macierzysty zakład miał być ewakuowany do Rumunii, ale zatrzymał ich ciężki bombardowanie i Rychtlik — dotarł się do Niemiec, nie uciekł, zbiegł po miesiącu i wrócił do rodzinnego miasta. Po wojnie jeszcze przez pewien czas pracował w przemyśle lotniczym, dopóki nie odkrył swego prawdziwego powołania. W 1952 roku podjął pracę w „Hydrobudowie” i stwierdził, że hydrotechnika jest żywiołem, w którym czuje się najlepiej. Budował wodociągi i gazociągi w Polsce i w Niemieckiej Republice Demokratycznej, w domu był rzadko, w delegacjach służbowych spędził 22 lata. W międzyczasie wychowywał się i wyrosła jego rodzina, które rozjechały się po Polsce. Jedną z córek jest polonistka, imma ukończyła technikum ekonomiczne, trzecia córka pracuje jako pielęgniarka. Syn kształci się w szkole oficerskiej. Zona Konstantego Rychtlika zajmuje się krawiectwem, pracuje w domu jako chałupniczka. Państwo Rychtlikowie są obecnie stałymi mieszkańcami Łodzi. W nowych blokach na Zarzewiu otrzymali trzy pokoje z kuchnią.

Sumiennemu Rychtlikowi uznanie kolegiów z przedsiębiorstwa. Nazywają go „Złotą rączką” i nie ma w tym przesady. Toteż człowiek, który swoją postawą przyczynił się do znacznego przyspieszenia budowy rurociągu zapewniającego naszemu miastu obfitość wody, zasłużył sobie na to, aby pretendował do tytułu łodzianina roku 1973.



Fot. W. Parys

## MIROSLAW WIŚNIEWSKI

Budujemy dużo i budujemy wszędzie. Kraj nasz jest jednym wielkim placem budowy. Sprawa architektury i budownictwa w ogóle stały się sprawami nas wszystkich; czekamy na mieszkania i na nowe zakłady przemysłowe. Na naszych oczach powstają nowe dzielnice, a stare ulegają przeobrażeniu ku wygodzie mieszkańców, pod dyktando nowoczesności i funkcjonalności.

Przed Łodzią nakreślono ambitny program w zakresie budownictwa i architektury. Łódź posiada też szeroko zakrojony program renowacji, konserwacji i adaptacji enklaw uznanych za zabytkowe z uwagi na rodzaj występującej tam architektury lub też ze względu na unikalny charakter układów urbanistycznych. Stąd też praca łódzkich architektów i urbanistów budzi powszechne i zrozumiałe zainteresowanie społeczeństwa. Mieszkańcy Łodzi chcą wiedzieć, jakie oblicze będzie mieć ich miasto, w jakim otoczeniu będą pracować, mieszkać, spędzać czas wolny.

Mirosław Wiśniewski jest reprezentantem młodszego pokolenia architektów. Związany jest z Łodzią pracą zawodową i senfymemem dla miasta, o którym zwykło się mówić, że jest wręcz encyklopedycznym wyrazem brzydoty. Urodził się w Łasku. W latach 1960-1967 studiował na warszawskiej Politechnice na Wydziale Architektury. Po studiach przez rok był asystentem w Katedrze Architektury. Tematem pracy dyplomowej Mirosława Wiśniewskiego były problemy zabudowy mieszkaniowej w śródmieściu Łodzi. Jak widać z Łodzi datują się od dawna i są przez Wiśniewskiego kontynuowane — w 1968 roku rozpoczyna on pracę w Miejskiej Pracowni Urbanistycznej, a od 1973 pracuje w Biurze Programowania i Projektowania Rozwoju Łodzi to znaczy w biurze, przed którym postawiono ambitne zadania przeobrażenia Łodzi w miasto nowoczesne.

Mirosław Wiśniewski jest laureatem ośmiu nagród i wyróżnień w konkursach organizowanych przez Stowarzyszenie Architektów Polskich i Towarzystwo Urbanistów Polskich. Wśród tematów konkursowych znajdują się m. in.: opracowanie projektu ośrodka wypoczynkowo-sportowego na Kępie Połockiej w Warszawie, projekt ośrodka rekreacyjnego w Głębinowie, Centrum Wschodnie Górniczego Ośrodka Przemysłowego, dzielnica mieszkaniowa i centrum w Brzegu, wreszcie plan szczegółowy dla Rynku Bałuckiego. Biorąc pod uwagę, że konkursy te stanowią efekt pięcioletniej pracy, uzyskane w nich nagrody i wyróżnienia uznać trzeba za duży sukces zawodowy Mirosława Wiśniewskiego. Za oczywisty dowód umiejętności konstrukcyjnego i nowoczesnego myślenia, którego tak bardzo potrzebuje nasza architektura i nasze budownictwo.

ŁODZIANIE 1973 (Kupon plebiscytowy)	
1. Delfina Ambroziak	
2. Jadwiga Andrzejewska	
3. Zdzisław Ciechanowski	
4. Wiesław Garboliński	
5. Wanda Karczewska	
6. Antonina Kłoskowska	
7. Andrzej Olczak	
8. Henryk Rudnicki	
9. Konstanty Rychtlik	
10. Mirosław Wiśniewski	
Nazwisko i imię	:
Adres	:
Zawód	:

Dalszy ciąg ze str. 7

troksliwa, i co dziwne, wbrew temu, co się na ogół mówi, dotyczy to sporej grupy mężczyzn. Do poradni przychodzi wielu ojców ze swymi pociechami, dźwigając je, przewijają i muszą stwierdzić, że idzie im to zupełnie dobrze. Kiedy bywam z wizytami, też zauważam, że również niektórzy ojcowie troszczą się o dziecko, dbają o nie. Nieraz robią to nawet lepiej niż matka, która w przypadku choroby dziecka jest bardziej zdenerwowana, zmęczona. I samo dziecko jakby tego ojca bardziej słuchało, wyczuwało jego siłę.

Oczywiście nie wszędzie jest tak różowo. Mam w rejonie kilka takich rodzin, w których konflikty stają się po prostu nie do zniesienia. To nawet postronna osoba zauważy, że przeważnie przyczyną jest tu alkoholizm ojca. Matka przychodzi splakana i mówi, że będzie musiała przeprowadzić rozwód, bo mąż ją bije, że dziecko zrywa się w nocy, jest przerażone, krzyczy.

Mam też w rejonie sporo małżeństw rozwiedzionych. W takich układach matka często nie może poradzić sobie z dzieckiem. Szczególnie z chłopcami są kłopoty. Uwidacznia się to w przedszkolu, w szkole. Ta matka po prostu nie potrafi sama wychować syna.

Ojciec czasem się domaga by mógł odwiedzić dziecko. To by nawet było wskazane, ale matki często bronią się przed tym. Obawiają się, że to tylko rozkojarza dziecko.

To są smutne przykłady, ale mimo wszystko uważam, że nie możemy mówić generalnie o kryzysie rodziny. Szczególnie wśród młodych małżeństw, a takich mam większość w swoim rejonie. Wśród nich bowiem, co wielokrotnie mogłam zauważyć — istnieje ogromna troska o to, co my nazywamy potocznie rodzinną atmosferą. Wraca autorytet ojca jako głowy rodziny. Tak jak było u mnie w domu. I to dobrze.

NATALIA I EUGENIUSZ KUŹNIKOWIE:

EUGENIUSZ: Pracowałem i pracuję jako ślusarz. Nigdy nie byłem pijakiem, nie przepuszczałem pieniędzy, gdzie się dało. Wiedziałem przecież, że muszę utrzymać dom. Zonie nie pozwoliłem pracować.

Najpierw mieliśmy jedną córkę, potem dwóch synów po kolei i po dwunastu latach małżeństwa urodziła się jeszcze jedna córka. I tak do tej pory wychowały się wszystkie. Troje już założyło rodziny.

Zylśmy zgodnie. Jak jest zgoda, to jest i dobra rodzina.

NATALIA: U mnie w domu musiał być spokój i cisza, żeby dzieci miały dobry przykład. Najważniejsze to chyba to, że mieliśmy do siebie zaufanie. Nigdy zażłości nie było i dlatego może tak wszystko układało się dobrze.

Teraz rodzice trochę za mało opiekują się dziećmi. Bo u nas dziecko było o toczone opieką, czuło tę miłość na każdym kroku. Nawet jak się czasem z mężem posprzeczałyśmy, to tak, żeby dziecko tego nie widziało i nie słyszało. I to chyba dzieci zbliżyło do nas.

Dużo się mówi o autorytecie. W naszym domu autorytet to miałam raczej ja. Raz powiedziałam i musiało być zrobione. Tak samo i mąż musiał mnie słuchać, bo uważałam, że jeśli już coś robię, to dla dobra rodziny. Ojciec był autorytetem od święta. Kiedy przychodził do domu, wszystko musiało być jak trzeba — spokój, dzieci nakarmione i przy lekcyjach. One wyczuwały, że ojciec jest pierwszą osobą.

Myślę, że nie postępowaliśmy z dziećmi źle. Chyba może dlatego to nasze dość liczne już przecież stadko nie rozprasza się. Wszyscy garną się do nas, przychodzą po radę, nawet syn, co jest w Warszawie. My też staramy się im pomóc jak możemy.

JERZY PAWLAK — technik:

Co ja sądzę o rodzinie? Raczej mogę powiedzieć, co sądziłem. Bo właśnie się rozleciała. Czy było w tym dużo mojej winy — nie wiem, myślę, że chyba leżała ona po obu stronach. Po prostu nie potrafiliśmy się dogadać, znaleźć wspólny język. To nie zaczęło się nagle, narastało powoli. A to ja nie interesowało, co przydarzyło mi się w pracy, a to była zbyt zmęczona, żeby pójść ze mną do kina, czy na imienniny. Potem, jak przyszło dziecko, to myślałem, że wszystko się ułoży z początku na to wyglądało. Przeszła pracować, ja wzięłem dodatkową pracę. I tak się zaczęło. A to, że późno wracam do domu, a gdzie byłem, a co robiłem. Ze nie zajmuję się dzieckiem... i tak codziennie. Mielśmy nawet nieciele trunki — dwa pokoje z kuchnią w starym budownictwie. książeczkę mieszkaniową zaczęliśmy odkładać. Ale teraz to już nie ma znaczenia.

Inaczej sobie to wszystko wyobrażam. Teraz nieskam z matką. Sam. Dziecko zatrzymała przy sobie. Czasem widuję je, ale nieczęsto, bo jak przychodzi, to czuje głębiącą atmosferę i dziecko też jest jakieś rozdrażnione. Płacę alimenty.

Czasem zastanawiam się, dlaczego się to wszystko tak stało i proszę mi wierzyć, że nie znajduję odpowiedzi.

„Joe's Place” młodził się na parterze. Lokal był przesiąknięty zapachem świeżego dymu tytoniowego i starego piwa. Trzy nagie żarówky dawały brudne światło. Naprzeciw drzwi stała rzeźbiona elektryka. Przy końcu lady aparat telewizyjny był nastawiony na zawody bokserów. Trzej mężczyźni, jasnowłosa dziewczyna i właściciel lokalu Joe siedzieli wpatrzni w ekran telewizyjny. Joe oderwał na moment wzrok od bokserów, żeby przyjrzeć się przybywającemu. — Jak daleko stąd do Nowego Jorku? — zapytał O'Hara. — Czterdzieści dwie mile — odpowiedział Joe.

Wszyscy odwrócili się do walki na ekranie. Bezwiednie oczy O'Hary zwróciły się w tym samym kierunku. Biały młodzieniec i czarna młodzieniec grzmocili się nawzajem na środku szarego ringu. Biały młodzieniec był wysoki i szczupły i miał długie ręce. Czarna młodzieniec był przysadzisty i miał potężne ramiona. Wyglądało to na dobrą walkę — bokser kontra pneumatyczny młot. Po zakończeniu rundy kamera skierowała się za młodym Murzynem do jego rogu na ringu i przez chwilę widocznie były twarze widzów w pierwszym rzędzie. O'Hara otworzył ze zdumienia usta. Palcami chwycił brzozy lady. Przechylił się nad zalanym piwem blatem do ekranu telewizyjnego.

Na ekranie ukazała się kreskówka. Trzy wielbłądy majestycznie kroczyły przez pustynię, niosąc na grzbietach antaki z piwem. Speaker recytował:

„Na piaskach rozżarzonej pustyni Najlepiej chłodzi piwo Bucka”. Speaker ciągnął dalej ogłoszenie reklamowe. Duży mężczyzna obok O'Hary, nie zwracając się specjalnie do nikogo — powiedział, że według niego Jersey the Kid w ósmej rundzie wykończy swego przeciwnika.

Jasnowłosa dziewczyna broniła szczupłego białego chłopca. — Ale skąd. Nigdy nie da rady Micky'emu. Micky jest za mądry. Poza tym podobają mi się jego włosy.

— Lepiej uważaj, żeby Bernie tego nie słyszał. Florio — rozemknął się Joe. Zwrócił się do O'Hary. — Co dla pana? — Właśnie w tej chwili speaker mówił o piwie Bucka.

O'Hara odparł: — Bucka.

Nie odrywał oczu od ekranu telewizyjnego. Tępe wielbłądy powoli zniknęły na pustyni. Gdzieś za nimi ledwo dostrzegalnie odczytał się dziesięciosekundowy przerwy.

— Gdzie odbywa się ta walka? — zapytał O'Hara.

— Anderson Arena w Bronx. W tym samym miejscu co każdego wtorku — odparł Joe. — Ma pan swoje piwo.

Rozległ się dźwięk gongu. Walka rozpoczęła się na nowo. O'Hara wstrzymał oddech w podnieceniu. Walka rozpoczęła się jednak na środku ringu, nie w rogu Jersey the Kida. O'Hara nie zobaczył więc twarzy pierwszego rzędu widzów, a musiał zobaczyć jeszcze raz, żeby mieć pewność.

Przez króciutką chwilę O'Hara wydawało się, że błysnęła przed nim na ekranie twarz, której szukał przez cztery lata, twarz, której nigdy nie zapomniał. Ostatni raz widział ją przez lekki dymek w rozbitej szybce okna drugiego piętra na Osiemnastej ulicy, w tej samej chwili, gdy jego kolega Johnny Riley, najprzyzwoitszy chyba policjant pod słońcem, chwycił się za brzuch i runął martwy do ryszotki.

Od tego czasu nikt nie widział twarzy gangstera Muggsy Rocco i wszyscy zrezygnowali już z dalszych poszukiwań, wszyscy oprócz niego — sierżanta detektywa O'Hary. Na swój uparty i landzki sposób usiłował dotrzymać danie samemu sobie obietnicy. Poświęcał połowę wolnego czasu na te daremne poszukiwania. Dziś także leżał w tej sprawie w górę Hudsonu, bo ktoś skierował go na ten fałszywy trop.

Na ekranie chłopcy walczyli na środku ringu. Micky'emu udało się długim lewym utrzymać przez chwilę Murzyna na odległość. Kamera dawała przeważnie zbliżenia. Wszystkie co widać było z widowni, to szereg ustawionych pod sznurami aparatów.

— Która to runda? — zapytał O'Hara. — Piąta — odparła dziewczyna. — Spójrzcie na lewy.

— Bzdura — powiedział duży mężczyzna obok niej. — Zaczekaj tylko, aż Kid puści swój prawy.

O'Hara popijał „Bucka” nie odrywając oczu od ekranu. Czekał w napięciu na pokazanie sznurów w rogu Jersey the Kida.

I nagle na krótki moment zdów ujrzał w twarz Jersey dwa razy trafiał lewym w kość policzkową Micky'ego. Micky szybko upadł i zeszłał się po sznurach. Kamera ślizgała się za nim. Przez krótki moment widoczne były podniecone twarze pięciu widzów. Nie ulegało wątpliwości — środkowa twarz należała do Muggsy Rocco.

Odstawiła kieliszek i szła do niego oparłszy ręce na kolanach siedzących na biodrach. — Powiedziatam panu, żeby pan zostawił telefon w spokoju.

— To znaczy że jest w porządku — wyrzekł pełnym nadziei głosem O'Hara. — Oczywiście, że jest w porządku. Ale tylko dla mnie, rozumie pan? Czekam na telefon od mojego przyjaciela Bernie, a on nie lubi, żeby aparat był zajęty. Dlatego powiesiłam ten napis.

— Guzik mnie obchodził pani i Bernie — odrzekł O'Hara i zwrócił się, znowu do aparatu, szukając w kieszeni drobnych.

Twarda dłoń chwyciła nagle jego ramię i wyciągnęła z kabiny. Trzymał go ten duży mężczyzna, któremu podobało się udzielenie Jersey the Kida.

— Przypuszczam, przyjacielu, że nie dosłyszałeś, co ta pani powiedziała — wyrzekł spokojnie mężczyzna. — Powiedziała, żebyś zostawił ten aparat w spokoju. Lepiej zrób jak ci każę.

— Nie mam czasu na dyskusję — warknął O'Hara. — Jestem policjantem. Muszę koniecznie skorzystać z tego telefonu. — Jesteś policjantem — gdzie? — W Nowym Jorku.

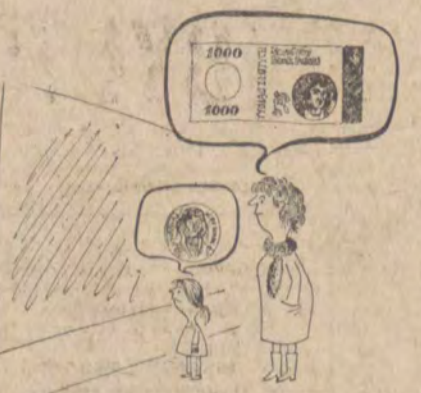
A JEDNAK SIĘ KRĘCI?

Afera kryptonim „Kopernik”, mimo, iż miała miejsce gdzieś w okolicach roku 1473, nie została, jak dotąd, wyjaśniona do końca. Pokretność teje afery przekracza, szczerze mówiąc granice wszelkiej przyzwoitości. Również moralne oblicze głównego jej sprawcy pozostawia wiele do życzenia. Z pozoru prostolinijny i szlachetny, Kopernik, w obliczu faktów jawi się nam jako nie lada krętać. Co prawda nie był on pierwszym krętaćcem w historii ludzkości — zdrowo kręcił przed nim w tej samej branży niejaki Ptolomeusz, który posunął się aż do tego, że w swoje krętaćctwa wciągnął słońce, które w efekcie zaczęło kręcić się wokół ziemi. To jednak, czego w swym krętaćctwie dopuścił się Kopernik, wykracza daleko poza normalne ludzkiego umysłu rozumienie. Trzeba mu oddać jednakże sprawiedliwość, że led miał nie od parady, skoro udało mu się wygrzeć kręcając się od wielu stuleci słońce i zaszantażować je do tego stopnia, iż wstrzymało się ono od wszelkiej krętaniny. Wciągnął poza tym w swe krętaćctwa liczne planety, łącznie z ziemią, na której, jako na jedynym punkcie oparcia, jaki posiadał, powinno mu być chyba jednak odrobiny zależeć. Okazało się

na własnej skórze — wyniknęło wiele. I tak to zwykle bywa w takich sytuacjach, szary, prosty człowiek



— Cóż, że opisałem stan faktyczny, skoro na publikację za wcześnie? Szymon Kobylński (Polska)



Zbigniew Jujka (Polska)



— Wstrzymać słońce, wruszyć ziemię — to nie, ale wywieść za 1000 zł... Zbigniew Jujka (Polska)

LEKTURA NA ŚWIĘTA

Obok wejścia O'Hara zauważył kabinę telefoniczną. Pięciu dużymi krokami przemierzył pokój, nim zobaczył wiszący krzywo na drzwiach budki napis „uszkodzony”. Zwrócił się w stronę lady.

— Czy nie ma pan prywatnego telefonu? — zapytał Muggsy Rocco. — Nie. Nie mam.

— Gdzie jest najbliższy telefon? — Cztery mile stąd. Na stacji benzynowej.

O'Hara zaklął. Cztery mile w taką ślizgawicę zabierze mu zbyt wiele czasu. Szarpnął do siebie drzwi kabiny, chwycił słuchawkę i zaczął stukać w widelki.

— Ej, zostaw no pan ten telefon w spokoju! — zawołała jasnowłosa dziewczyna.

FERRIN FRASER

TWARZ MORDERCY

Odstawiła kieliszek i szła do niego oparłszy ręce na kolanach siedzących na biodrach. — Powiedziatam panu, żeby pan zostawił telefon w spokoju.

— To znaczy że jest w porządku — wyrzekł pełnym nadziei głosem O'Hara. — Oczywiście, że jest w porządku. Ale tylko dla mnie, rozumie pan? Czekam na telefon od mojego przyjaciela Bernie, a on nie lubi, żeby aparat był zajęty. Dlatego powiesiłam ten napis.

— Guzik mnie obchodził pani i Bernie — odrzekł O'Hara i zwrócił się, znowu do aparatu, szukając w kieszeni drobnych.

Twarda dłoń chwyciła nagle jego ramię i wyciągnęła z kabiny. Trzymał go ten duży mężczyzna, któremu podobało się udzielenie Jersey the Kida.

— Przypuszczam, przyjacielu, że nie dosłyszałeś, co ta pani powiedziała — wyrzekł spokojnie mężczyzna. — Powiedziała, żebyś zostawił ten aparat w spokoju. Lepiej zrób jak ci każę.

— Nie mam czasu na dyskusję — warknął O'Hara. — Jestem policjantem. Muszę koniecznie skorzystać z tego telefonu. — Jesteś policjantem — gdzie? — W Nowym Jorku.

— Co ty mówisz? Ale to nie znaczy przyjaciela, że jesteś policjantem tu. O'Hara wiedział, że przekonywanie tego jegomościa zajmie za dużo czasu. Zaciął



zbyt i walną go z rozmachem w szczękę. Mężczyzna wolno upadł. Nim uderzył a podłogę O'Hara miał już swój policyjny rewolwer w ręku. Obrzucił spojrzem pokój. Nikt się nie ruszył.

— Nie ruszać się z miejsc! — rozkazał.

Znalazł nareszcie w kieszeni płaszcza dziesiątkę i nakreślił numer Centrali. Z boku widział jak w przerwie na ekranie telewizyjnym popisywały się dwa akrobaci. Głos speakera mówił:

„Przez piwo Bucka Lecąc wysoko nad areną Ma się pewne oko”.

W słuchawce usłyszał głos: — Centrala. — Głos brzmiał cicho i niepewnie.

— Międzymiastową — powiedział O'Hara.

— Chwilczkę. .... I teraz siódma runda walki w wadze średniej między Harry Linkiem,

musi naprawiać wysiłkiem mięśni to, co nabroił jakiś tam niebieski ptaszek z wrodzonymi inklinacjami do krętaćctwa.

Niejasna jest ponadto sama osoba Kopernika, a także okoliczności, w jakich udało mu się rozkręcić całą tę obrotową hecę. Dlatego słusznie



W.F. Rożancew (ZSRR)

się stało, że międzynarodowa grupa detektywów, ucharakteryzowana dla niepoznaki na wybitnych rysowników-satyryków, podjęła wspólne wysiłki nad wyjaśnieniem kulis całej afery. Swe niezwykle interesujące i wiele mówiące dociekania, badania i hipotezy, ujęte w formie rysunkowych dowcipów (również dla niepoznaki) zaprezentowała w formie wystawy w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki. Celemu temu przedsięwzięciu, istotnemu dla dalszych losów ludzkości, patronuje (po cichu oczywiście) redakcja „Szpilek”.

Reprodukowany tutaj dokument objaśnia nam prawdziwą twarz M. Kopernika (który, naszym zdaniem, szalenie przypomina innego aferzystę, niejakego Wacka d'Artagnana) oraz podpisy wszystkich detektywów (przebranych za satyryków-rysowników, oczywiście), którzy równolegle, samodzielnie i w różnych częściach świata doszli do tych samych demaskatorskich wniosków.

W GALERII 80x140

W Galerii 80x140 (Klub Plastyków) koord. przez J. Trelińskiego wystawiono hasło: „Bądź honorowym

WYSTAWY

dawcą sztuki”. Znany krytyk, Karol Barszczeński, przechodząc obok tego hasła, niezmiennie błądzi ręką w okolicach miejsca, gdzie mężczyźni z Dzikiego Zachodu zwykli nosić przedmioty określane ogólnie mianem „coltów”. Niezrozumiała jest, moim zdaniem, reakcja znakomitego krytyka na to, co dzieje się w Galerii koord. przez J. Trelińskiego. Chodzi tu przecież nie o krwiodawstwo a o sztukodawstwo, co, jak z samej nazwy wynika, jest zupełnie inną sprawą.

Być może zresztą K. Barszczeński, jako człowiek starej daty, nazbyt wielkie znaczenie przywiązuje do kwestii sztuki i twórczości w ogóle. Niemniej jego starszowieckie poglądy nie usprawiedliwiają bynajmniej jego demonstracji. Jeżeli ktoś chce być koniecznie honorowym dawcą sztuki — niech będzie. Byleby nie był ani honorowym ani płatnym dawcą erztatu.

L'ASTRONOMIE SANS COPERNIC



— Le soleil tourne autour de la Terre et la Terre autour des papillons.

— Słońce obraca się wokół ziemi, a Ziemia wokół motyli Jean Effel (Francja)

Ponadto K. Barszczeński powinien zapamiętać sobie dwie rzeczy. Po pierwsze — czasy znakomitych samotnych rewolwerowców zginęły bezpowrotnie, także w dziedzinie sztuki. Po drugie — automatyczne dojarzki znalazły dziś zastosowanie również i w dziedzinie kultury.

ANDRZEJ GRUN

# LEKTURA NA ŚWIĘTA



— Proszę mnie połączyć z sierżantem Glissoldem w Anderson Arena, Sto sześćdziesiąta ósma ulica, Bronx, New York City.

— Proszę chwileczkę zaczekać. Proszę nie odkładać słuchawki.

Chwileczka przeciągała się. Na ekranie runda zakończyła się potężnym rykiem widowni. O'Hara widział, jak Mickey Stevens chwytając się ledwo doszedł do swojego rogu. Jego sekundanci pracowali nad nim jak opętani. Dla O'Hary to był nieodpowiedni róg. Nie mógł zobaczyć Muggsy Rocco.

Rocco był zwirowany na punkcie pięściarstwa. Przez dwa lata O'Hara polował na niego we wszystkich klubach pięściarskich. I teraz, kiedy go nareszcie znalazł, musiało to być w telewizji, w taką służawicę, czterdzieści mil od Nowego Jorku.

„Trzy niedźwiadki żyły szczęśliwie Bo Goidy Locks kupował tylko Bucka pivo.”

— Halo — odezwał się telefon — z kim pan chciał mówić?

— Glissold. Sierżant Glissold.

— Proszę przeliterować.

— G-L-I-S-.

— G, G jak Gloria?

O'Hara usiłował nie tracić panowania nad sobą.

— Tu chodzi o pilne połączenie dla policji. Proszę natychmiast połączyć. Jeżeli nie można znaleźć sierżanta Glissolda, będę mówił z kimkolwiek w biurze Anderson Arena.

— Chwileczkę.

— Proszę zaczekać! Jeżeli będą jakieś wątpliwości, proszę mi dać Komendę Główną Policji w Nowym Jorku.

W drutach panowała kompletna cisza. Znowu O'Hara musiał uważać, żeby jego ręka nie zaczęła stukać w widelki. Znowu czekał.

Barman Joe ukradkiem usiłował przesłuchać się wzdłuż wewnętrznej strony lady. Dwa mężczyźni z nie tkniętymi kieliszkami obserwowali go blyszczącymi oczyma. Dziewczyna nie poruszyła się. O'Hara jednak widział, że utkwiła spojrzenie w mężczyźnie, którego powalił na ziemię. Z kabiny telefonicznej mógł dojrzeć tylko nogi leżącego. Nogi te powoli poruszały się. Napinając drut słuchawki wychylił się z kabiny. Mężczyzna podniósł się na dloniach i na łokciach. Jeszcze się chwiał, ale jego czarne oczy były pełne wściekłości.

— Jeżeli ten człowiek jest waszym przyjacielem — zwrócił się O'Hara w stronę pokoi — lepiej powstrzymać go, bo jak nie, zastrzelę go na miejscu.

Nikt się nie odezwał. Nikt się nie poruszył oprócz mężczyzny na ziemi. Przez chwilę utrzymywał równowagę na lewym łokciu, podczas gdy prawą ręką sięgał pod marynarkę. O'Hara puścił słuchawkę. Szybko zrobił z kabiny krok, starannie wycelował i huknął leżącego nogą w głowę. Mężczyzna powoli opadł na twarz.

„... i teraz ósma runda tej interesującej walki w wadze średniej pomiędzy...”

O'Hara złapał zwisającą słuchawkę. Nie było odpowiedzi.

Ośma runda! Oznaczało to, że pozostało jeszcze dokładnie osiem minut, wliczając w to dwie jedeminutowe przerwy, jeżeli walka będzie trwała pełnych dziesięć rund. Lecz walka wyglądała teraz tak, że mogła w każdej chwili skończyć się nokautem Mickiego.

Słuchawka trzasnęła w ucho O'Hary.

— Halo! Halo!

— Ta rozmowa z Nowym Jorkiem, sierżancie O'Hara. Bardzo mi przykro, ale służawica spowodowała zakłócenia w połączeniach telefonicznych. W tej chwili nie możemy uzyskać połączenia z Nowym Jorkiem.

— Niech pani słucha. Sprawa jest wyjątkowo pilna. Chodzi o ujęcie mordercy. Czy nie może pani połączyć się z Glissoldem bezpośrednio...

z jakimś miastem w New Jersey i poprosić o przełączenie na Nowy Jork?

— Spróbuj. Proszę chwileczkę zaczekać.

„Na litość boską, Micky podnieś się” modlił się w duchu O'Hara.

Chłopak poruszył się. Jego młoda twarz wyglądała jak maska konającego, a piersi z trudem chwytaly powietrze. Oparł się końcami rękawic o płótno i chwytając się stanął wyprostowany. O'Hara przeszła straszna myśl. Sędzia uporczywie przyglądał się Mickiemu. Sędzia mógł przerwać walkę.

— Nie, nie! — szepnął O'Hara.

Po długiej chwili sędzia dał znak do rozpoczęcia walki na nowo. Polyskując czarnymi ramiolami Jersey the Kid zabrał się do wykończenia Mickiego. Zabrział gong.

„Słeczny Kocplusek wszystkich mężczyzną podbił, zgubił buck, lecz oni mieli pivo Bucka”.

Nagle drzwi gwałtownie się rozwarły i do lokalu wszedł młody człowiek w roboczych spodniach i brązowej skórzanej kurtce. Jego nie ogolone szczęki były ciemne i twarde. Ze złością zatrzasnął za sobą drzwi i zwrócił się do jasnowłosej dziewczyny.

— Co tu się dzieje, Florie? Miałaś odebrać telefon, gdyby udało się załatwić interes. Aparat był bez przerwy zajęty. Jeżeli się nie mylę, umawialiśmy się, że miałaś się postarać, żeby aparat był wolny.

— Bądź cicho, Bernie — odparła dziewczyna — w kabine telefonicznej siedzi policjant.

Oczy Bernieego mignęły leżącego na ziemi mężczyzny i spotkały się z oczami O'Hary. Oczy sierżanta były twarde i wyglądały jak dwie szczeliny. Miał przezwagę zaskoczenia. Miał w ręku rewolwer. Bernie był jednak podstępny. Poza tym Bernie widział po drugiej stronie kabiny kogoś, kogo O'Hara nie widział — mianowicie barmana Joe. Joemu udało się prześlizgnąć pod ladą i teraz z ciężką korbą samochodową w ręku skradł się do kabiny telefonicznej.

„Nie przypuszczam, żeby Micky Stevens mógł przetrzymać jeszcze jedną rundę”, oświadczył speaker telewizyjny. „Już raz leżał. Ma mocno przeciętą skórę nad lewym okiem”.

— Stój na miejscu! — rozkazał Berniemu O'Hara.

— Jersey City, Jersey City — odezwała się telefonistka w ucho O'Hary. — Pilna sprawa policyjna. Chcę przełączyć numer na Nowy Jork.

W brudnym świetle nagich żarówek dwa koledy leżącego na ziemi mężczyzny powoli posuwali się do przodu. Obecność Bernieego najwidoczniej dodawała im odwagi. Stali bezpośrednio za Berniem tworząc przy drzwiach kabiny telefonicznej szerokie półkole.

— Kto jest ten gość, Florie? — zapytał spokojnie Bernie.

— Mówi, że jest nowojorskim policjantem. Próbuje się połączyć z policją w Nowym Jorku.

— Co ty mówisz? To elekawe.

— Słuchaj — powiedział O'Hara. — Nie wiem, co ty za jeden i nie mnie to nie obchodzi.

— Zwalł Dinksa — powiedziała dziewczyna wskazując leżącego na ziemi mężczyzny — i następnie huknął go nogą w głowę.

— To ciekawe.

— Próbuje uzyskać przez ten aparat pilne służbowe połączenie. Upprzedzam.

„Micky robi wszystko, żeby się utrzymać do końca walki. Wszedł Kidowi potężnego lewego. U, U! Kid widzi solidnego prawego nad serce Mickiemu. Micky opada”.

W wąskiej szybie kabiny O'Hara nagle zobaczył odbicie Joego z korbą samochodową w ręku.

— Rużć to! — rozkazał O'Hara, wychylając się z kabiny i grożąc Joemu rewolwerem.

Joe rzucił. Korbą huknęła o podłogę. W tej samej jednak chwili Bernie sko-

czył — nie na O'Hare, lecz poza jego pole widzenia — za kabine. O'Hara ze słuchawką w jednej ręce i rewolwerem w drugiej nie widział już Bernie'go. Usłyszał tylko jego cichy śmiech i słowa:

— O.K. gлина. Teraz ty rzuc to! Albo wypełnię tę kabine ołowiem.

— Chwileczkę, proszę — odezwała się słuchawka. — Łączę pana. Jersey City, pilna rozmowa policyjna. Proszę połączyć mnie z Anderson Arena, Sto sześćdziesiąta ósma ulica, Bronx, New York City.

— „dostał Mickiego do neutralnego rogu. Wali go obu pięściami!”

— Centrala! Będę rozmawiał z kimkolwiek pod tym numerem, tylko proszę przedzej.

— Ty, gлина — powiedział Bernie. — Daję ci ostatnią szansę. Rzuć ten rewolwer i wyjdź albo strzelam do kabiny.

— On to zrobi — szepnęła O'Harze dziewczyna, rozwierając szeroko oczy.

— Czekaj — odezwał się O'Hara. — Nie znam ciebie. Nie mam nic przeciwko tobie. Nic mnie nie obchodzi, że rabujesz ciężarówkę.

— Skąd wiesz o tym?

— Domyślam się. To jasne. Nic mnie to nie obchodzi. Mnie w chwili obchodzą tylko sprawy uzyskania połączenia telefonicznego. Muszę złapać mordercę.

— Bujda. Gлина to gлина, gdziekolwiek jest i cokolwiek robi. Będę liczył do trzech, żebyś miał czas rzucić ten rewolwer i wyjść z kabiny.

„Kolumb beztrzęsło żeglował po bezkresnym oceanie bo miał ładunek dobrego piva Bucka”.

— Czy wychodzisz? — zapytał Bernie.

— Tak, wychodzę — odrzekł O'Hara. Trzymając jeszcze ciągle rewolwer w ręku wyszedł z kabiny telefonicznej, nie spojrzawszy ani w prawo, ani w lewo. Jego oczy były utkwiwione w ekran telewizyjny.

Zrobił powoli pięć kroków w kierunku lady i w napięciu oparł się o blat. Nie obchodziło go żadne zagrożenie mu w tej chwili niebezpieczeństwo. Był całkowicie pochłonięty ekranem.

„... osiem, dziewięć, dziesięć!”

„Tam ryczał. Zwycięzca, czarny Jersey the Kid, zatańczył w swoim rogu fantastyczny taniec zwycięstwa. Poza jego ciemnym ciałem kamera uchwyliła też część widowni. Jeszcze raz O'Hara zobaczył zniechęconą twarz Muggsy Rocco. Była wykrzywiona triumfalnym uśmiechem. Lecz ten uśmiech znikł, gdy przez ułamek sekundy kamera pokazała dwóch umundurowanych policjantów, chwytających podniesione do oklasków ręce Rocco.

„Duży brzydełki wilk był silny i wytrzymały, bo pił jedynie pivo Bucka”.

O'Hara obejrzał lokal jak gdyby widział go po raz pierwszy.

Jego grube wargi rozchyliły się w lekkiem uśmiechu, a wąskie oczy miały w brudnym świetle nagich żarówek prawie przyjazny wyraz. Wydawało się, że jest nawet zdziwiony widokiem leżącego na ziemi mężczyzny i dość niepewnie wyglądającym w ręku Bernie'go niebieskawo polyskującym rewolwerem.

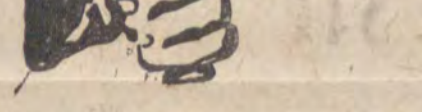
— Odłóż to, synu — powiedział Rance O'Hara. — O dwóch sprawach pomówiły może później. Udało mi się zakończyć najważniejszą robotę w moim życiu i jedyne, na co mam w tej chwili ochotę, to postawić wam wszystkim — hej, Joe, jak się nazywało to coś?

— „Pivo Bucka” — odpowiedziała telewizja.

— Piwo Bucka jest zrobione z najlepszego siodu i najlepszego chmielu.

— Sierżanta Glissolda w tej chwili nie ma.

— Będę mówił z kimkolwiek.



Gong oznaczał, że runda się skończyła. Teraz będzie dziesiąta i ostatnia runda. Pozostały cztery minuty, jeżeli Micky Stevens zdoła utrzymać się na nogach. O'Hara widział wszystkich w pokoju, prócz Bernie'go. Bernie stał za kabina i miał w ręku przytknięty do cienkiej ścianki kabiny automatyczny rewolwer. Niewidoczny Bernie mógł wyładować swój dziesięciopalcowy rewolwer do kabiny i uczynić z niej trumnę dla O'Hary.

— Raz — wyrzekł Bernie. — Uprowadź ciele, gлина.

— Anderson Arena.

— Międzyimiastowy telefon do sierżanta Glissolda.

„Piwo Bucka jest zrobione z najlepszego siodu i najlepszego chmielu”.

— Sierżanta Glissolda w tej chwili nie ma.

— Będę mówił z kimkolwiek.

czyli Jersey the Kidem i Micky Stevensem”.

O'Hara zaczął się pocić w kabine telefonicznej. Do tej chwili nikt się w pokoju nie poruszył. Czuli się jak w pułapce, ale nie mogli odejść od telefonu. Sekundy mijały i na ekranie widać było, że biały chłopak jest zmęczony. Dwukrotnie Jersey the Kid przygwoździł go potężnymi prawymi, pod którymi chude żebra białego chłopca zapadły się. O'Hara miał okropnego stracha. „Jeśli Micky zostanie znokautowany, nim mnie połączą — pomyślał — Anderson Arena opróżni się a Muggsy Rocco zniknie może na dalsze cztery lata, a może na zawsze”.

— Micky jest w ciężkiej sytuacji — powiedział speaker — Kid wali w niego obu pięściami. Nie wiem, co właściwie Mickiego jeszcze trzyma.

— Międzyimiastowa — odezwał się telefon.

— Niech pani słucha, chodzi o pilną rozmowę policyjną. — O'Hara usiłował mówić cicho i spokojnie. — Jestem sierżant detektyw O'Hara z policji nowojorskiej. Chcę mówić z... — przerwał.

Były trzy miejsca, do których mógł telefonować: Komenda Główna Center Street, najbliższy od areny komisariat w Bronx lub Anderson Arena. Pierwsze dwa oznaczały cenne minuty opóźnienia, nim ludzie zostaną wysłani do hali bokserskiej. Z drugiej strony wiedział, że w samej hali służba na pewno ma sierżanta Glissolda. Gdyby mógł porozumieć się z Glissoldem bezpośrednio...

## KIM BYŁ TEN JUDASZ?

## KSIAŻKA



Fot. W. Parys

Zenon Kosidowski wydał kiedyś „Opowieści Biblijne”. Krytyka pisała wówczas, że — pomijając wartości literackie książki — jest to znakomity podręcznik wychowania laickiego.

„Opowieści Biblijne” Kosidowskiego były świecką interpretacją Biblii. Nie miały nie wspólnego z apokryfem.

Henryk Panas wydał niedawno klasyczny apokryf, książkę pt. „WEDŁUG JUDASZA”, a lektura tego dzieła, jak niegdyś opastego tomu Kosidowskiego, staje się znów lekcją laickiego myślenia.

Niewiele mamy książek z zakresu literatury pięknej, które by owo myślenie świadomie kształtowały. Tym cenniejsze wartości upatruję w dziełku Panasa.

Biblia, jak mitologia grecka i rzymska, jest i będzie zawsze źródłem nieskończonej ilości możliwych kombinacji literackich, źródłem inspiracji twórczej, poulewał we wszystkich tych opowieściach dzieła się rzeczy ludzkie. Ba! dramatycznie ludzkie.

Przewrotność autorska Panasa polega jednak na tym, że dramatyczną postacią Judasza całkowicie z dramatem odziera.

Poznajemy wytwornego patrycjusza rzymskiego, konesera sztuki i sztuki życia. Człowieka ceniącego sobie piękno, tak przesłannego duchem Rzymu, że niewiele z surowym, ponurym klimatem Biblii mającym wspólnego. Judasz nie chodzi w zgrzebnym sza-

tach, głowy nie przykrywa kapturem. Kij wędrowca do niczego mu nie służy. Judasz w swym codziennym życiu każe się nosić lektykami, a swoje spotkanie z Jezusem z Nazaretu traktuje jak niezwykle przygodę intelektualną. Poddaje się jej czarowi, ale poddając się ma pełną tego świadomość. Poza tym wspiera Nazarejczyka finansowo, zdając sobie sprawę, że bez jego bankierów krucho byłoby z samym niepraktycznym Mistrzem i jego równie oderwanymi od życia, uczniami.

Judasz Panasa nie ma predyspozycji mistycznych, albowiem mieszka w nim duch Rzymu. Judasz jest przede wszystkim człowiekiem myślącym. Nikogo nie zdradzał i nie oszukiwał, nie miał bowiem takiej potrzeby, jako człowiek postawiony wysoko w hierarchii społecznej, wspartej niebagatelna fortuna.

Umie tą fortuną rządzić, umie też wydawać ją na cele niekonicznie — według mniemania epoki — pożyteczne, ale jego — Judasza — interesujące.

Nawet wielka miłość Judasza do Marii jest miłością — przecież — Rzymianina. Trudno oprzeć się tu skojarzeniu, że duch Sienkiewicza, jedna z ciekawszych postaci naszej literatury — Petroniusz — błakał się wokół biurka autora „Według Judasza”.

Malo też w literaturze ostatnich lat tak subtelnie, a zarazem tak realistycznie, w tak wysublimowany sposób, a

jednocześnie po ludzku, przeprowadzonych wątków miłosnych, jak w dziełku Panasa. Judasz ma do swej miłości nawet stosunek z lekką ironią. Nie dziwnego, był dzieckiem swej epoki. To nie tylko nie szkodzi miłości, a przeciwnie, czyni ją ciekawszą.

Panas stworzył najprawdziwszy romans, wielki romans, liryczny, kończący się jednak łagodnie, bez wstrząsów. Rozpływający się w „ponadczasie”. Piękny romans.

Książka jest pisana w pierwszej osobie. Jest czymś w rodzaju wspomnień, pamiętnikiem Judasza, dotyczącym niewielkiego odcinka własnego życia.

I jakżeż ona jest napisana od strony literackiej! Znakomicie. Refleksyjny, pełen dystansu do opisywanych zdarzeń język „Według Judasza”, czyni z książką niezapomnianą lekturę.

Nie wspomina tu już o studach, jakich napisanie tego dzieła wymagało. Nie wspomina o lekturach, o wejściu w „ducha epoki”.

Judasz Panasa każe nam przede wszystkim wątpić. Kto wszystko wie, na pewno i bez pudła, nie wie.

Henryk Panas w swej książce uczy nas odwagi myślenia, niepokoją poszukiwań, twórczego wysiłku spojrzenia na coś przez wieki niepodważalnego, inaczej.

Należy tu poza sukcesem autorskim odnotować sukces Wydawcy — olsztyńskiego „Pojezierza”. To satysfakcja wydać tak ciekawą książkę.

BARBARA NAWROCKA-DOŃSKA

# POD ŻODŁEM

MAREK WAWRZKIEWICZ

RYUNKI I COLLAGE ANDRZEJA GRUNA

## I. MOŻE BYĆ MALUTKA

Przecież może być malutka  
Wiotka jodła  
Sosna  
Lub świerk srebrny  
Przecież może to być gałązka  
Z szyszką jedną  
Lub bez niej  
Ale niech ją przedtem wiatr owieje  
Śnieg ochłodzi  
Ptak traci w przelocie  
Niech w niej gwiazdka zamieszka nocą  
Niech się o nią lis otrze.  
Niech urodzi się lepkiem pączkiem  
W mchach W paprociach W igliwiu  
I niech rośnie aż wreszcie dorosnie  
Niech przyjdzie  
Przecież może być całkiem malutka  
Ale jeśli wiatr Jeśli ptaki  
Jeśli śnieg Jeśli gwiazdka  
To przecież  
Będzie częścią szumiącego lasu  
A zapachnie jak las zaszumi  
Jakby wiatr skrzydło rozpostarł miękko  
To wystarczy Nic więcej nie trzeba  
Już jest dobrze  
I bardzo pięknie



## II. ŻOŁNIERZ PISZE LIST DO UKOCHANEJ

W pierwszych słowach mojego pisanja  
Ci donoszę, że jestem zdrowy.  
Na początku mnie kapral ganiał,  
Ale teraz się zrobił morowaj.  
A z przepustką nie wyszło na razie,  
I co zrobić. Służba jest służba.  
I na Święta teraz nie przyjdę.  
Nie będziemy się ścisnąć pod gruszą,  
Pod tą krzywą, tuż za wsią, pamiętasz.  
Bardzo smaczne są z niej ulegalki.  
Więc to będą dosyć smutne święta.  
Wzdychać będę. A może i żałkam.  
Paczkę wczoraj przysłała mi matka.  
Zajdź tam kiedyś, o zdrowie się dowiedz.  
I zachowaj kawałek oplatka.  
Jak przyjadę — podzielę się z tobą.  
Franka pozdrów. Od cioci Anieli  
List nie przyszedł, a pisała pono.  
Tylko patrzeć, a któreś niedzieli  
Dadzą urlop i wpadną do domu.  
I na koniec chciałbym cię prosić,  
Żeby wszystko było jak należy.  
A w to wszystko, co słyszysz od Zosi  
Smiało możesz zupełnie nie wierzyć.



## III. WYPOWIEDZ OWCY W RAMACH AKCJI „POGADAJMY SOBIE W NOC WIGILIJNĄ”

Właściwie to ja nic nie mam przeciwko strip-teasom.  
Niech się ludzie rozbierają, skoro im to odpowiada.  
Proszę bardzo. Natomiast bardzo nie lubię jak mnie  
strzygą w okolicy świąt Bożego Narodzenia. Nieprzyzwo-  
icie się wygląda, po prostu jak goła pięta. Ja wiem,  
że zimy mamy łagodne, ale mimo to — chłodno.  
Więc ja proszę, żeby rolnika średniorolnego Macieja  
Łońskiego ze wsi Krowięca ukarać za antyspoleczność  
i nieprzyzwoitość. Bee.  
Podpisano: Szeregowa Owca.

## IV. ANIOŁOWIE DYŻURNI

A tam wszędzie, gdzie bardzo samotnie  
Gdzie karp tylko lypie okiem ze stołu,  
Tam natychmiast, właściwie bezzwłocznie  
Przylatują dyżurne anioły.

Całe w bieli, w szelestach puszystych —  
Czasem szaty mają w rzucik złoty —  
Rozpylając blask drżący i mglisty,  
Rzeško biorą się do roboty.

Przyjdzie taki, usiądzie wygodnie  
I założy se skrzydło za skrzydło,  
Rączki zatrze, podciągnie spodnie  
I od razu się zmienia wszystko!

Lże — to widać. Ale w dobrej wierze.  
I w tych igrastwach czas przyjemnie płynie,  
Pustoszeją piorunem talerze.  
A ma anioł jakąś dziwną minę.

Więc mu stawiasz kieliszek tęgi  
I znacząco — paluszkami w szyję.  
A ten lajdus zaczyna coś kręcić,  
„Na robocie” — powiada — „nie piję”.

Gadu-gadu i już wszystko znamy,  
Ciężko mają te dyżurne duchy!  
Gdy wracają w swe niebieskie bramy  
To sprawdzają ich. Względem chuchu.

Ale jednak — łatwiej z takim przeżyć,  
Dzień się kończy. A noc się zaczyna.  
Warto dodać: do samotnych dziewic  
Lata anioł z uśmiechem Suzina.



## V. PREZENTY OD MATKI

Gdzie się podziały, mamo, te dawne prezenty?  
Już nawet pamiętać po nich czas zatopił.  
He tych drzewek małych zeszło się i zwiędło?  
He razy żył nimi krótkotrwały płomień?

Pewnie tam były książki. Książki z obrazkami.  
Kalejdoskop stłuczony węgłem niespokojnym.  
Gdzie się podziały tamte prezenty od mamy,  
Z tamtych wigilii biednych, w głodnych latach wojny?

Już nie wiem. Nie pamiętam. Czas szumi i wzbiera.  
A tamten czas grudniowy już tak dawno minął.  
Wiesz mamo, co najlepiej ja pamiętam teraz?  
Smak kawy. Właśnie kawy. Czarnej. Z sacharyną.



## VI. NADZWYCZAJNE ZDARZENIE W PEWNYM DOMU PRZY UL. KUKUŁCZEJ:

Pani Maryla N. (nazwisko nam wiadome)  
Samotna, lat trzydzieści, oczy bardzo piwne,  
Wieczorem wigilijnym wróciła do domu,  
Zdjęła buty, sukienkę, została w bieliźnie.

Włączyła wtyczkę w gniazdko. Choinka się świeci.  
Prawidłowo. Już chciała spocząć na kanapie,  
Gdy poczuła, że nie jest to zwyczajny wieczór.  
Coś leży pod choinką. I coś strasznie chrapie.

Zajrzała. Widzi — człowiek. Pleć wybitnie męska.  
Mimo to — obudziła. On wyjaśnił szczerze.  
I już wiemy. Po prostu: to Mikołaj święty.  
Zgadł życzenia dziewczęcia. I zrobił jej prezent.

Ileż to było potem śmiechu i radości!  
Ileż uciechy ciała! Ileż wzlotów ducha!  
Niestety. Na tym świecie co dobre — się kończy.  
I radość wszelka bywa nadzwyczajnie krucha.

Pan Stasio (tak mu było), w dzień świąteczny, trzeci,  
Wyszedł z domu na chwilę, by kupić gazetę.  
Nawet czapki nie włożył. No i co powiecie?  
Do tej pory go nie ma. Wziął, wyszedł i przepadł.

Podobno raz widziano, jak święty Mikołaj  
Niósł go z dużym wysiłkiem ulicą Piotrkowską.  
Wyglądał niezłe, czerstwo. Chociaż głowa goła!  
Ale być może są to po prostu pogłoski.

Pani Marylka za to zmieniła się bardzo.  
Nauczyła się spokój i zacisność cenić.  
Sznuje Mikołaja. W domu siedzi twardo.  
I nad wszystko uwielbia Boże Narodzenie.



## VII. MOJA CÓRKA MODLI SIĘ DO ŚW. MIKOŁAJA.

### PROŻĄ RZECZ JASNA. NIE WYMAGAJMY OD DZIECKA ZBYT WIELE.

Święty Mikołaju bardzo cię proszę, żebyś przychodził  
trochę częściej. Możesz co miesiąc, a jeśli byś miał więcej  
czasu — to i co tydzień. Nie krępuj się. Nawet możesz  
nie przylepiać tej brody, bo wiem, że cię to męczy. Co  
do prezentów, to przynosź to, co uważasz. Ale koniecznie.  
I nie pytaj mnie tyle razy czy byłam grzeczna. Przeciętne  
dziecko nie może być grzeczne. Po prostu nie ma prawa.



## VIII. OSTROŻNIE Z PIERNIKAMI

Ze wszystkich domowników przy świątecznym stole  
Dziadziunio się wyróżnia aktywną postawą.  
On białych ciast nie lubi. On pierniki woli.  
Konsumuje potwornie. Bardzo dobrze trawi.

Aż miło spojrzeć jak się żwawo krząta.  
I lwia część z każdej porcji dla siebie odlicza.  
A wnuczkowie? Wnuczkowie szepczą po kątach:  
Bardzo pięknie nam dziadzius przez ten rok spierniczał.



## IX. WYLICZANKA KOLEĐOWA

Stajenka	— jedna	— 1
Złobek	— jeden	— 1
Wół	— dziewięć	— 9
Oś	— trzy	— 3
Trzech królów	— trzech	— 3
Gwiazda	— betlejemka	
Aniołów różnych	— dwadzieścia siedem	— 27

RAZEM 44 Plus gwiazda betlejemka

## X. SERDECZNE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE PRZESYLA NIŻEJ PODPISANY:

Ale pamiętajcie, kochani: musi być. Choćby ma-  
lutka.



„Süddeutsche Zeitung”

◀ **JEDNA** z prawicowych partii wenezuelskich wiąże duże nadzieje wyborcze, odkąd rzuciła swój nowy slogan: „Maż dla każdej starej panny”. Lider partii, Amado Ceniels, obiecuje przymusową ustawę państwową, gwarantującą męża każdej kobiecie wenezuelskiej, nawet jeśli w związku z tym trzeba będzie importować mężczyzn. Ten kandydat na posła otrzymał już ponad 10 tysięcy listów od Niemców z NRF, zainteresowanych jego zamierzeniem. („Der Spiegel” — NRF).

\* **GEORGE GALLUP** zamierza „zbadac” opinię społeczeństwa całego świata. Powiedział on, że liczy się z możliwością podróży do wszystkich krajów kuli ziemskiej, co pozwoli mu na próbę ustalenia zależności pomiędzy wzrostem dochodów a szczęściem jednostki. („Boston Globe” — Nowy Jork)

◀ **JAPONSKIE** min. sprawiedliwości opublikuje niebawem „białą księgę” dotyczącą przestępstw kryminalnych w Japonii. M. in. wskazuje ona na nowy fenomen: wzrost przestępczości wśród kobiet. Procent kobiet spośród ogółu zatrzymanych przez policję wzrósł z 11,6 w 1968 roku do 13,6 w 1972 roku. A jeszcze bardziej zdumiewające: liczba kobiet zatrzymanych za włamanie i użycie siły, przestępstwa będące dotąd domeną mężczyzn, jest o 260 procent wyższa w 1973 roku w porównaniu z rokiem 1968. Feminizacja zacyzna obejmować coraz szersze rejony życia. („Asahi” — Japonia).

\* **PREMIER HOLLANDII** oświadczył, że polityka jego rządu była i jest konsekwentna polityką, opartą na rezolucji nr 242 Rady Bezpieczeństwa, podjętej w 1967 roku. „Rząd nasz — powiedział premier — składa się z ludzi, którzy udowodnili w trakcie swej politycznej działalności, że rozumieją zasadnicze poglądy krajów arabskich. Partia Pracy, odgrywająca dużą rolę w tym rządzie, oświadczyła już, że żądania Palestyńczyków są prawowite a problem ten nosi charakter polityczny”. Premier Holandii opowiedział się za ustąpieniem Izraela z terytoriów okupowanych. („Le Monde” — Paryż)

Gdy w 1909 roku Tomasz Mann napisał powieść „Królewska wysokość” o życiu na dworze małego księstwa niemieckiego podejrzewano go, że chodzi tu o realnych ludzi, ale pod zmyślnymi nazwiskami. W owym czasie istniał jeszcze z tuzin takich karłowatych państw. Dzisiejszy czytelnik pomyślałby, że taka powieść jest albo plodem fantazji autora, albo, że jej „bohaterem” jest widsnie Liechtenstein.

Niezmiernie rzadko trafia on na łamy prasy światowej. Leżąc na małym skrawku ziemi, zagubiony w uroczej dolinie Renu, między Szwajcarią i Austrią, niczym nie zwraca uwagi dostojnej Europy. Chodzą słuchy, że jest europejskim „rajem podatkowym”, w którym wielu biznesmeni z zachodu Europy chętnie ukrywają swoje kapitały. Czy to odpowiada prawdzie?

Liechtenstein zajmuje terytorium o powierzchni 157 km kw., a zatem niewiele większe od obszaru Łodzi. Jest większy od San Marino, Monako i Watykanu razem wziętych, ale ze swymi 22 tysiącami mieszkańców także należy do kategorii mini-państw. Warto na marginesie wspomnieć, iż w 1963 roku Liechtenstein liczył 17 tysięcy mieszkańców, a zatem w ciągu dziesięciu lat liczba obywateli księstwa wzrosła o 5 tysięcy. Jeszcze jedna liczba świadcząca o miniaturowym wymiarze tego kraju — stolica księstwa, Vaduz, liczy 3 i pół tysiąca mieszkańców.

Okolo 70 proc. ludności kraju stanowią rdzenni obywatele Liechtensteinu, pozostali — to zagraniczni robotnicy, emeryci i finansisci z sąsiednich krajów.

Jak i kiedy pojawił się Liechtenstein na mapie Europy? W miejscu, w którym znajduje się dziś stolica księstwa — Vaduz, istniało niegdyś królestwo Vaduz, które od XIV wieku stało się samodzielną jednostką polityczną. Ród Liechtensteinów należał do tych rodów arystokratycznych, które przez stulecia dostarczały generałów, dostojników państwowych, dyplomatów i biskupów austriackiej dynastii Habsburgów. Tytuł księcia otrzymali Liechtensteinowie w 1608 roku i pragnąc przydać mu blasku, kupili w 1712 roku sąsiednie hrabstwo Vaduz. W 1719 r. cesarz niemiecki ogłosił posiadłość Liechtensteinów, wraz z hrabstwem Vaduz, księstwem Liechtenstein. Historia, jak wiele innych.

Upadek monarchii Habsburgów spowodował pełną reorientację polityki Liechtensteinu. Uległy zerwaniu tradycyjne związki z Austrią, jej miejsce zajęła Szwajcarią.

## „Raj podatkowy” w dolinie Renu

„Anschluss” Austrii, dokonany w 1938 roku przez hitlerowskie Niemcy był dla księstwa nowym kryzysem — u progu bezbronnego kraju stanął nazizm. Jednakże przez cały okres drugiej wojny światowej mieszkańcom Liechtensteinu udawało się chronić za puklerzem szwajcarskiej neutralności.

Geograficzne położenie Liechtensteinu zawsze przynosiło mu korzyści ekonomiczne. Jednakże, w miarę upływu czasu oraz konieczności zapewnienia mieszkańcom księstwa wyższego poziomu egzystencji, korzystne położenie geograficzne przestało wystarczać. W okresie międzywojennym dom księży musiał nie raz zasilić państwowe finanse drogą sprzedaży rodzinnych dzieł sztuki. Wielu mieszkańców Liechtensteinu szukało chleba poza granicami kraju.

Po wojnie sytuacja utęgła radykalnej zmianie. Liechtenstein, wzorując się na Szwajcarii, uznał za niezbędne ograniczyć ilość obcokrajowców, pragnących osiedlić się w księstwie, do trzydziestu procent w stosunku do ogólnej liczby ludności.

Struktura eksportu Liechtensteinu jest bardzo zróżnicowana: od sztucznych żebów do jelit używanych w produkcji kiełbas. W związku z rozwojem przemysłu i sfery usług, procent zatrudnionych w gospodarce rolnej spadł z 34 proc. w 1949 r. do 6 proc. w 1971.

O Liechtensteinie mówi się często i dużo, jako o „raju podatkowym”. W Vaduz uważa się, że opinie te są mocno przesadzone. Przedsiębiorstwo organizujące produkcję lub otwierające przedstawicielstwo — mówi się tutaj w kołach oficjalnych — obieca się podatkiem. To jest oczywiście. Ale — dodaje się zaraz — nie ma u nas podwójnego podatku, jak na przykład w Austrii. Podkreśla się także z pewną godnością, że cudzoziemcom nielubianym trudno otrzymać obywatelstwo Liechtensteinu oraz nabyć w księstwie kawałek ziemi.

Ale prawda tkwi, jak zwykle po środku. Wiadomo bowiem, nie od dziś, że podatki w Liechtensteinie, w szczególności jeśli chodzi o firmy

holdingowe (czyli kompanie posiadające część lub całość akcji innych kompanii, co daje im możliwość kontrolowania tych kompanii) są znacznie niższe, niż w większości innych krajów, z niektórymi kantonami szwajcarskimi włącznie.

Zgodnie z konstytucją, przyjętą w 1921 roku, Liechtenstein jest monarchią konstytucyjną z księciem, jako głową państwa. Ale do dziś Liechtenstein jest jedynym krajem w Europie, w którym kobiety nie mają praw wyborczych. Dwa „ogólnonarodowe” referenda, w których oczywiście brali udział wyłącznie mężczyźni, przeprowadzone w 1971 roku, kiedy to Szwajcarzy postanowili udzielić głosu swoim kobietom, zakończyły się klęską mieszkank księstwa. Obecnie — jak mówi się w Vaduzie — kobiety przygotowują się do energicznych akcji o swe prawa.

W polityce zagranicznej Liechtenstein przestrzega zasad neutralności i pozostaje w ścisłych związkach ze Szwajcarią. Jednakże w Vaduz lubi się mówić, że księstwo bynajmniej „nie wyrzekło się swej niepodległości na rzecz Szwajcarii” (Szwajcarią reprezentuje dyplomatyczne przedstawicielstwo Liechtensteinu za granicą i zabezpiecza łączność pocztową), a tylko w sferze niektórych zagadnień korzysta z opieki i pomocy rządu szwajcarskiego i szwajcarskiej dyplomacji. Liechtenstein jest rzeczywiście mniej zależny od Szwajcarii, niż na przykład San Marino od Włoch, czy Monako od Francji, nie mówiąc już o zależności Andory od Francji i Hiszpanii.

Liechtenstein wziął udział w wielostronnych rozmowach związanych z przygotowaniem Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, a następnie także w samej konferencji w Helsinkach i Genewie. Księstwo jest także członkiem szeregu międzynarodowych organizacji, działających w ramach ONZ. Jednakże Liechtenstein odmawia wstąpienia do Organizacji Narodów Zjednoczonych, pamiętając, że swego czasu odrzucił jego prośbę o przyjęcie do Ligi Narodów. Być może sprawa ta stanie

się dla Liechtensteinu aktualna, kiedy Szwajcarią zdecyduje się zostać członkiem Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Dziś Liechtenstein ma jedynego stałego przedstawiciela za granicą — ambasadę w Bernie. W Vaduz nie ma ani jednej ambasady.

Na Zachodzie tu i ówdzie słyszy się powiedzonko: „Portfel mieszkańca Liechtensteinu znajduje się w Szwajcarii, ale serce w Austrii”. Albo też inne: „Liechtenstein, wraz z tym anachronicznym księstwem, jest osetkowym państwkiem”. W każdym porządku jest zawsze trochę prawdy. Ile jest w tym? Biorąc pod uwagę silne związki gospodarcze i polityczne księstwa ze Szwajcarią, a znów stałą tradycję „wiewiór krwi” z Austrią, należy chyba przyjąć, iż w powiedzonku jest dużo prawdy.

Mieszkańcy Liechtensteinu stanowczo protestują przeciwko nazywaniu księstwa „operetkowym państwkiem” i „podatkowym rajem”.

„Jesteśmy przede wszystkim obywatelami Liechtensteinu” — podkreślają z dumą, czego przygodny turysta nie powinien utożsamiać z „lokalnym patriotyzmem”.

Rozwój ekonomiczny kraju stworzył mnóstwo nowych problemów, charakterystycznych dla współczesnego państwa przemysłowego: Liechtenstein przestał już być izolowaną i zapomnianą doliną alpejską. Niemniej, jego mieszkańcy mają nadzieję, że ich kraj, podobnie jak dotąd, pozostanie doliną pokoju i przyjaźni.

J. CZECH



— Na dworcu! Jak najszybciej!... „Süddeutsche Zeitung”

- ▼ ROZBIEŻNOŚCI WŚRÓD ATLANTYCKICH PARTNERÓW
- ▼ ETAP KONSULTACJI NA BLISKIM WSCHODZIE
- ▼ NOWY KROK NA DRODZE NORMALIZACJI

W gazetach zachodnioeuropejskich w ostatnich dniach dużo pisano na temat zimowej sesji Rady NATO. W licznych komentarzach można znaleźć dwa główne tego powody: fakt, że po raz pierwszy — zdaniem obserwatorów — więcej uwagi w czasie obrad poświęcono stosunkom między krajami paktu niż ze Wschodem oraz fakt, że na sesji potwierdziły się w pełni kontrowersje między USA i Europą zachodnią.

Uznajemy to za dostateczny powód, aby przegląd bieżących wydarzeń rozpocząć od tej sesji.

Jakie zarzuty zachodniej Europy zmajoryzowały tematyczne obrady? Spróbujmy je wyliczyć... A więc: Stany Zjednoczone nie konsultowały się ze swoimi sojusznikami przed podjęciem decyzji wojskowych podczas konfliktu na Bliskim Wschodzie i nie konsultują obecnie, prowadząc negocjacje na temat tego kryzysu. USA naruszają solidarność Zachodu niektórymi swymi decyzjami i traktują Pakt Atlantyczny jako instrument globalnej polityki światowej. Waszyngton wciąż domaga się ponowienia przez kraje europejskie pełnych kosztów stacjonowania wojsk amerykańskich w zachodniej części kontynentu, podczas kiedy państwa zachodnie same ponoszą... wysokie wydatki militarne...

A już wręcz do ostrego spiecia doszło między francuskim ministrem spraw zagranicznych — Jobertem a sekretarzem stanu — Kissingerem na

tle wzajemnego zaufania. Incydent ów stał się największym wydarzeniem sesji.

Wszystko to dzieje się — przypomnijmy — w proklamowanym przez USA „roku Europy”, który miał przynieść poprawę stosunków Ameryki Pn. z jej europejskimi sojusznikami. Nic więc dziwnego, że podpisanie „nowej karty atlantycznej” odłożono do wiosny.

Wewnętrzne sprawy NATO przysłoniły nieco ogólniejszą problematykę. Jednak w komunikacie, ogłoszonym po sesji, stwierdzono, że rozmowy wiedeńskie na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie toczą się w „rzeczowej atmosferze”, stosunki dwustronne i wielostronne ze Wschodem „rozwiązują się zachęcająco”, a stosunki między dwoma państwami niemieckimi obiecują „konstruktivne rozmowy” w sprawie bezpieczeństwa i współpracy.

Skoro już piszemy o ważnych grzmach na Zachodzie — zwróćmy uwagę także na szczyt dziewięciu krajów EWG w Kopenhadze. Nie znamy jeszcze decyzji, jakie tam zapadły, wiemy natomiast, że do stolicy Danii przybyli w tym czasie ministrowie spraw zagranicznych sześciu krajów arabskich i że konferowali z ministrami dzielnic. Poinformowali oni kraje zachodniej Europy o decyzjach, podjętych na arabskim szczyście w Algierze i spotkaniu przedstawicieli arabskich producentów ropy naftowej w Kuwejcie. Ich sens sprowadza się do dal-

szego zmniejszenia dostaw ropy od nowego roku, jeśli nie ulegnie zmianie sytuacja bliskowschodnia.

Za nowy moment tej sytuacji uznajmy wznowienie — po z górą sześciu latach — stosunków dyplomatycznych między Egiptem a Stanami Zjednoczonymi. Ponieważ Egipcjanie zawsze twierdzili, że nie uczynią tego do czasu prowadzenia przez USA „bardziej zrównoważonej” polityki na Bliskim Wschodzie — komentatorzy sądzą, iż wielogodzinne rozmowy Kissingera w Kairze musiały przynieść jakiś postęp. Wynika to zresztą z jego wypowiedzi. Na pytanie dziennikarza, w jakim kierunku zmierza obecna sytuacja, odpowiedział bez namysłu: w kierunku pokoju. Prez. Sadat oznajmił zaś, że Egipt weźmie udział w genewskiej konferencji, zgadza się, aby jego przedstawiciele przebywali w tym samym pokoju, co delegacja Izraelska, ale nie będą z nią prowadzić żadnych bezpośrednich rozmów.

Podaję te pozornie drobne fakty, ponieważ mówią one wiele o obecnym etapie kryzysu bliskowschodniego — etapie konsultacji i przygotowań do pokojowej konferencji. Niestety — atmosfera tych przygotowań zakłócana jest naruszaniem przez Izrael warunków rozejmu. Stwierdzają to oficjalnie raporty obserwatorów ONZ. Dlatego też przypuszcza się, że pierwsza faza konferencji poświęcona będzie sprawie oddzielenia wojsk izraelskich i egipskich.

Powróćmy jednak do Europy. W procesie normalizacji stosunków krajów Europy wschodniej z NRF zaistniał nowy ważny fakt — podpisane zostało porozumienie między Czechosłowacją i NRF, które m. in. uznaje

za nieważny od samego początku tzw. układ monachijski. Porozumienie to — przypominamy — wynegocjowane zostało przed miesiącami, ale przyjazd Brandta do Pragi opóźnił się, gdyż już po uzgodnieniu tekstu pojawiły się nowe trudności. Ostatecznie porozumienie wchodzi w życie, a jego znaczenie daleko przekracza stosunki dwustronne.

Tymczasem w NRF podano oficjalnie do wiadomości, że Walter Scheel — jeden z współtwórców polityki wschodniej koalicyjnego rządu Brandta — zgodził się kandydować z ramienia FDP na stanowisko prezydenta NRF. Jako że jego kandydaturę wspiera także SPD, a koalicja rządo-

wa ma większość w parlamencie, możemy chyba już stwierdzić, iż znany nowego prezydenta Republiki Federalnej. Teraz na pewno znacznie się fala spekulacji, kto zajmie jego miejsce w partii i kto przejmie tekę ministra spraw zagranicznych.

Przełęcz zakończmy podkreśleniem znaczenia wizyty premiera rządu Jugosławii — Bijedića w Polsce.

W sprawach politycznych rozmowy warszawskie przyniosły identyczność lub zbliżność poglądów, natomiast w dwustronnych stosunkach gospodarczych dalszy ich rozwój, który będzie następował przede wszystkim w dziedzinie kooperacji i wymiany surowcowej.

W. ŚLAWSKI

ANDRZEJ GRUN FRYZURY

**KAP. TADEUSZOWI**  
i wszystkim kapitanom świata.

**BATERIA**

Forma składowa: 100% SMOOTH WHISKY

Toast kapitański: (kapitałowy zreszta) „BĄDZ KAPITANEM WŁASNEJ BATERII z SWOICH SNÓW”

# ZIMOWE WERSZE

Jak większość czytelników poezji bardzo cenię wszelkiego rodzaju antologie. Pisałem już nieraz, że marzy mi się na przykład antologia poezji łódzkiej, przez co rozumiem po prostu wiersze o tematyce łódzkiej, autorów z całego kraju — nie tylko zresztą, bo wiele pięknych wierszy o Łodzi napisali cudzoziemcy... Z niecierpliwością czekam na — podobno pominięty — tom „Wojsko w poezji polskiej”, pięknym akcentem Roku Kopernikańskiego była elegancko wydana antologia wierszy o Koperniku...

Słowem, wydaje mi się, że antologie są potrzebne i ciekawe — rzecz tylko, aby było ich dużo, aby poprzez wachlarz tematów i hasel wywołujących czytelnik mógł docierać już samodzielnie do poezji zawartej w tomach wierszy poszczególnych poetów. Inaczej zwykły miłośnik i czytelnik poezji gubi

się w powodzi tomików — bardzo nieraz różnej wartości. Ponieważ zima — ponieważ Gwiazdka, pomyślałem sobie, że dobrze będzie dać czytelnikowi na święta małą antologię wierszy o zimie. Okazało się — nie taka to łatwa sprawa.

Oto biorę do ręki ponad 1000-stronicowy tom „Poezyj polskiej XIX wieku” — tom zawierający 1600 wierszy, paru dziesiątków autorów... Okazuje się, że w tej reprezentatywnej przeciętnej antologii jeden, jedyny wiersz ma zimowy tytuł. Oto on — „Zimowy zmrok” Franciszki Arnsztafajnowej:

„Zimowy zmrok... na dworze śnieg  
Na szybie mrozu kwiat.  
Śni mi się maj i Adria brzeg  
sen młodych lat.  
Śni mi się maj i Adria brzeg  
I gaik winnych łoż  
I budzę się... Za oknem śnieg  
Na szybie mrozu”.

No, cóż, takie wiersze kiedyś napisano i wzruszały one czytelnika. Dział ten ten brzmiał nam fałszywie. Zacytowałem wiersz jako dokument epoki... Lecz, rzecz ciekawa, wśród 1600 wierszy poetów XIX wieku — a oni przecież najchętniej pisali o porach roku — znalazłem całe morowe utworów poświęconych jesieni, na drugim miejscu — wiosna, na trzecim — lato... „Zimowy zmrok” Arnsztafajnowej jest wyjątkiem.

Sięgnąłem więc do innej antologii — do zbioru poezji polskiej z lat 1914—1939. I tutaj wśród setek wierszy znalazłem mnóstwo utworów o jesieni i tylko... trzy o zimie. „Śnieg” Stanisława Młodzieńca, „Zimę z wypisów szkolnych” K. I. Galezynskiego oraz „Do śniegu” M. Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej. Zaprezentuję ten ostatni:

„Śniegu  
Baranku Boży!  
Gładzisz grzechy świata  
I białymi lokami brzydotę  
rozmiatasz.  
Wokół igra iskrami pogoda  
szczęśliwa

A ty kłęczysz

i śmieciak piersiami zakrywasz”

Na koniec skończę do wspaniałości. W antologii Andrzeja Łama „Kolumbowie i współczesni” znów znalazłem zatroszczenie wierszy o jesieni — a zima (ale nie ma powodzenia u poetów. Tylko trzy wiersze o zimie — „Śnieg” Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, „Sad — styczeń” Jerzego Harasymowicza oraz „Dzień zimowy” Artura Międzyrzeckiego... Zaprezentuję fragment tego ostatniego.

„Jutrzenka zimowa nie ma  
u nas różnanych palców  
Plachta szarego nieba okna  
z mroku wyciera  
Widać ludzi wielu idących  
po chłodnym placu  
A dalej żółty reflektor i  
szybę buldożera...”

I tym zimowym pejzażem — miejskim i bardzo współczesnym kończę nieudaną antologię wierszy o zimie.

WIDOK

ANDRZEJ GRUŃ

FRYZURY

PREZENT  
ROKU!

„ŚWINIA”  
do podłożenia pod  
choinkę



prezent bardzo funkcjonalny.  
Nowoczesny ale z tradycją (bardzo bogatą).

# KOŁOWANIEC Z RODZYNKAMI

Aby tradycji stało się zadość, każda rodzina Kowalskich musi przepisać przez siebie te tygodniowe drogi przez mękę. Wygląda to tak: Najpierw krewna damka sztyca głowa rodziny udaje się na codzienny zwłok, by pozmym wieczorem wiechać do mieszkanka na podskubanym chojczku, zwanym choinką.

Głęboko omerem, wszędzie muszą wykiwać — jęczy Kowalska, pochylona nad przedświątecznym, wielkim prasowaniem. Urazono mięską dumę, przeto ojciec widzi się na balkon i wzniósł okrzyk pełen tragizmu, rzucił drzewko na ulicę. Chłopki tupią po schodach i drzewko przynoszą, bo choinka musi być. Prawdziwa, pachnąca lasem. Ten zapach tui nawet swąd spalonych spodni, bo w trakcie wymiany małżeńskich poglądów żelazko stało sobie spokojnie na nogawce...

I już mocno pachnie świętami, euforia ogarnia domy wszystkich Kowalskich, którzy szarpną się nerwowo i finansowo, aby ostro lyknąć z tego świętecznego źródła. — Będzie, do cholery, ten Mikolaj, czy nie będzie? — niecierpliwie się Kowalski z ósmiej klasy.

Cicho, dzisiaj nie denerwuj się, dosłownie te amerykańki — uspokaja matka — tylko skocz po jeszcze po siłki suszone. Chłopak wzrusza ramionami, na co ojciec, mówiąc, że za jego miodociś inaczej było, szciga pas, albowiem bardzo ceni sobie wychowanie przez pracę i siłusze. Przez cały tydzień Kowalscy przysięgają się w pracy. Dzieci podtrzymują matkę, stojące na parapetach przy myciu szyi, tulają się po skiepacach w poszukiwaniu łacińskich bobkowych, obojęnie jedzą na szanach po parkiecie, albo biegają na setkę jid.

Kołowaniec z rodzinami nabiera obrotów w dniu ostatnim, czyli wigilijnym. Od rana Kowalski siedzi w salonie i przypieka się pod niebem mistrza Feiksa, w domu przypieka się makowicę, a niecieni Kowalscy leżą na szafach i przystrojonej w korony z pior (pocięta sukienka szylionowa mamusi) wyjące o-płaczno „juu — huuu!” za pomocą procy i włóczni zakończonych widelcem czynią radośnie spustoszenie w wigilijnym mieszkaniu.

Stad też ta i owa Kowalska przed przyjęciem opłatka przeżywa uwer-turę zawatu, ale jeszcze diega po kawalek piacka z państwowego wypieku, guziki, gumki do majtek oraz deko pieprzu, żeby, wszystko grało.

O zmroku wraca do wigilijnego stołu Kowalski. Jest po kilku rybkach, a że karpia zabrakło, więc koledy namówił go na wyjazd za miasto, gdzie łowiono karpie w przerebli i Kowalski jest mokry. Żeby sprawę załagodzić, biedacy rozjeździł się w poszukiwaniu rezerw i kupił po wędzonym dorszu. Kowalski uważał swojego na sznurku i jakos tam wciągnął na piekro.

— Dzieci — krzyczy już w

drzwiach — rybek nie ma, ale tatusz kupił wam na gwiazdkę piekaka! No, chodź — pociąga za sznurka! — nie bój się, Cacus! Pani jest dobra...

Sytuacja rozładuje się przy opłatkach; tzy, wzruszenie, przeprosiny i „żeby nam się dobrze działo”. Opłatek dla ducha i kielen dla ducha, szwagier Złutek splewa kołosa i piosenki partyzanckie, a dzieci wierzą się i pytają o tego...kolajka, lata wzywa Mikolajka z nieba czyli stuka kijem od szczytów w sufit. Po chwili zjawia się święty Mikolaj. To dobry pan Karol, sędzia z góry, wyprawionym kożuch i masce ze starej portochy, Dzieci biedną i marnąją w oczach pod wpływem chuchru pana Karola i mnogości zabawek. Pan Karol siada do stołu, wychyla kielicha za dobrą noc, co dała, dużo zabawek i zdejmuje maskę.

— Co pan robisz? — krzyczy Kowalska. — Jak mi dzieci teraz będą wierzyć w Mikolajka?

— A co, mają sobie spęcać charakter i wierzyć, że święty Mikolaj wódki żłopie?

W dziesiętnastym mieszkaniu Mikolaj zarządza już samoobsługę i dzieci same wybierały prezenty z worka. A w Szapce jest jeszcze gorzej, bo Mikolajów zbiera — do miesiąc policja, gdyż jest to państwo kapitalistyczne.

Poem u Kowalskich nastój gąsienie, kuzynka Magda dławi się osłami, Kowalska urywa się film, a w telewizji urywa się bardzo dobry program o produkcji bardzo dobrych żyletek, zrobiony na wesolo.

Następne dni wypełnione są rodzinnymi pielgrzymkami do miejsc świętych, czyli do żobu, przy którym zblakane owce chwala wiele jednego z trzech królów pt. „Monopol”. Król jest łaski pełen i ludzi zauważa, więc dyrektor Malinowski płacze i krzyczy, że on z ludem, po czym rzuca się w ubranu do wanny z wodą po żywych karpkach.

Wujek Heniek splewa „plonie ognisko”. A bombki silnie pękają, dziełni strażacy gaszą opłasko, a gruba ciocia Gienia robi stępiła na żyrandolu, na co dzieci krzyczą, że jest lepsza od „Heigi” i seksu w literaturze w „Odsiościach”.

Pośród weselości leknie często syrena karetek śpieszącej do walei z kolką wotrobowa i w szystko — jest fainie. Tylko późnieł głowa taka ciężka i dreszcze na widok szynki i śledzi w oleju Najświetni sa lekarze tramwajowe i milicjanci, bo nie tak nie udrawia link pracca.

Zaczynała się obłężenia. W tonach mierz się zużyte medykamenty wolowine, tala i elasto, li-czy zyski i straty. Włosy stała de-ba Kowalskim ale przesnieł nigdy nie wyrekliby się tych świat, p-keńców marzy się przez cały rok, świat społecznych, sutych i wesol-tych. I takich właśnie życzy Czytelnikom

# CISZA WOKÓŁ ZGIEŁKU

N lamach prasy krajowej trwa dyskusja o programach radiowych, zapoczątkowana alarmującym głosem profesora Su-chodolskiego w „Literaturze”.

Choroba oczu zmusiła profesora do wielogodzinnej wysłuchiwan-ia programu, co zakończyło się stwierdzeniem, że radio stało się ośrodkiem popularyzacji muzyki rozrywkowej i absolutnie niez-ciem poza tym. Muzyka zalewa nas ze wszystkich stron i oczy-wiście przestaje być w ogóle słyszana. Niewrażliwość młodych ludzi — a także bardzo wielu młodszych, ale chcą-cych na siłę dostosować się do stylu bycia tamtych — na hałas, wrzask, walenie w bębny, jest wręcz nieprawdopodobna. By-łem niedawno w tak zwanym lokalu pierwszej kategorii, gdzie do tańca przygrywał zespół bardzo zamożnych, więc chyba młodych, klezmerów... To, było coś okropnego. Z ogłuszającego huk-u nie potrafiliem wyłowić żadnej melodii ani nawet żadnego rytmu, do którego mieliby się dostosować tańczący. Toteż wcale nie próbowałem się dostoso-wać — każdy i każda kołysa-li się pojedynczo w rytmach do-wolnych, sprzecznych, niezbież-nych, w ogóle bez rytmu i bez sensu. O zamienieniu z kimkol-wiek słowa nie mogło być w tym lokalu mowy. Wszedłem dośłownie chory, z rozbitą od

środka głową, ogłuszony i o-ępialy.

Z częstych noclegów po hote-lach, sanatoriach, wczasowi-skach znam typ człowieka, któ-rego pierwszym gestem po prze-budzeniu jest sięgnięcie do gal-ki radioaparatu. Oni muszą żyć w hałasie, nie znoszą spokoju, są już chyba bezpowrotnie ska-żeni i zatruci hałasem. Ale to musi być hałas nie zahaczający o myślenie, nie artykułowany; to nie może być słowo, musi być dźwięk i nie próż dźwięku. Już przecież wzmówiono nam, że każda dowolna kombinacja dźwięków jest muzyką. Mamy więc niustanny zlew dowol-nej, kakaofonicznej, drażniącej, psychodelicznej skambinowa-nych dźwięków, i to jest prze-ważająca większość radiowych transmisji.

Jest doprawdy faktem pożało-wania godnym, że krytyka i pu-blicystyka radiowa — w naszym czasopiśmiennictwie nie istnieje w ogóle. Trochę pisze się o te-lewizji, wobec której radio zbyt skwapliwie chyba uznało się za partnera pokonanego, nie mają-cego szans w walce o publiczność. Przedwojenny tygodnik li-teracki „Pion” już od 1934 roku publikował systematycznie po-ważne, solidne essaye o ów-czesnych programach radio-wych i o roli radia w ogóle, zajmowali się tym znani pi-sarze, Kolonicki, Kosidowski,

wielu specjalistów, których na-zwiska dziś już nic nikomu nie mówią. Gdzie dzisiaj jest taki tygodnik? Wielka cisza opinii trwa wokół wielkiego radiowe-go zgielku, nietrudno w tej sy-tuacji o błędy w „ramówce”, o przegięcia, zaniedbania i pomylki.

Nie wszyscy już oczywiście pamiętają, że początki Polskiego Radia stanowiła koncesjonowa-na w 1925 roku prywatna spół-ka akcyjna. Jednym z warunk-ów koncesji był — uwaga! — zakaz transmitowania muzyki mechanicznej, czyli muzyki z płyt. Uważano, że nagranie na płytę już jest zubożeniem praw-dziwej muzyki, zamianą żywio-łu w konserwę, w mechaniczną bezduszną atrapę odtworzenie płyty z kolei przez (nieskonale wówczas) aparaty nadawcze i odbiorcze odkształca po raz drugi muzykę, oddala ją od dzieła artysty — muzyka, po-zbawia odbiorcę możliwości autentyzmu — artystycznego przeżycia.

W roku 1939 atakowano ostro upaństwowione już Polskie Radio za to, że 80 proc. progra-mu wypełniają płyty. Powód był oczywisty: za wystąpienie znanego prelegenta przed mi-krofonom płacono 8—10 zł za minutę, płyty nie kosztowały prawie nic. Latwiej i wygod-niej było uzyskiwać oszczędność tą drogą, niż na przykład drogą ograniczenia ogromnych kosz-tów administracyjnych, czytają

pensji etatowych prezesów, dy-rektorów, i członków komisji.

Dziś względy „rentowności” radia wyglądają zupełnie ina-czej i nie mają decydującego wpływu na „ramówkę”, czyli na ogólny schemat poszczególnych programów i rozgłosni. Jeżeli dziś mniej niż przed 50 laty li-czymy się z wartością auten-tycznego przeżycia artystyczne-go, jeżeli we wszystkich dziedzi-nach odchodzimy od owej autentyczności na rzecz coraz kunsztowniejszych namiastek, powtórzeń, odtworzeń, montażi, jeżeli nie mamy już żadnej pewności czy pokazywany nam obraz jest odbiciem rzeczywistości, a nie fotomontażem, że prezentowany nam przez radio koncert jest naprawdę koncer-tem w wykonaniu wirtuozu, a nie zlepkiem stu-kawałków taśmy z najlepszych, najbardziej udanych fragmentów jednego lub kilku „muzyków” — to nie wiemy, czy jest się czym pysz-nić. Ale to jest inny temat, a raczej cała fura tematów. Na razie chciałem tylko wspomnieć się o rzetelną dyskusję o sta-łej, a nie „awaryjnej”, publicystyce radiowej, o sprawowanie opi-nii publicznej do zabrania — do stałego, systematycznego zabie-rania — głosu na temat jedne-gó z najpoważniejszych środ-ków masowego przekazu, jakim jest radiofonia.

ĆWIEK

# ZAWRÓT GŁOWY OD BOGACTWA

Hość humanistycznych periody-ków jest u nas ogromna, sama historia ma ich kilkadziesiąt (je-żeli wliczyć pisma regionalne), ponieważ zaś informacja o no-wych publikacjach prawie nie ist-nieje, stad bardzo wiele z tego, co się drukuje, przechodzi niezau-ważone nawet przez specjalis-tów. Historycy na przykład czy-tują przede wszystkim czlowie-peryodyki o zasięgu ogólnopols-kim, z „Kwartalnikiem Histo-rycznym”. „Przeładem Historycz-ny” i kilkana innymi na czele oraz pisma wyspecjalizowane z zakresu uprawianej przez siebie problematyki. Konia z rzędem temu, kto dotrze np. do wydanego na powielaczu w Bydgoszczy skromnego piśmka historycznego, a przecież... sam przypadkiem miałem okazję stwierdzić, że i tam można znaleźć rzeczy wcale interesujące. Nie rozdzierajmy jednak szal nad nadmierną bogactwa: raczej należałoby ubole-wać nad tym, że w parze z roz-wojem humanistycznych periody-ków nie idzie u nas, i to zupeł-nie, rozwój naukowej informac-ji. Nie mówię już o czasopiśmiech zagranicznych, których jest z roku na rok coraz więcej; wcale częs-to nie sposób niemal się dowiedzieć, czy nie ma w

nich czegoś dla nas intere-sującego, skoro egzemplarze są nieliczne, a przegląda je mało kto, nikt zaś ich nie omawia...

Istnieje w Polsce — wbrew utyskiwaniom — ogromna łatwość druku, chociaż wciąż jeszcze nie jest ona równa dla wszystkich pi-szczych. Ma to swoje dobre, ale także i złe strony, skoro niejedn-o-krotnie ukazują się prace słabe, takie, które w ogóle nie powinny były się ukazać, albo niedopra-cowane, takie, które wymagałyby od autora jeszcze sporo wysiłku, za-nimby powinny docekać się druku. Z takimi zjawiskami spotykamy się nieraz na lamach czasopism nawet i pierwszoplanowych, tak-kich, do których mamy już zaufa-nie jako do periodyków znaczą-cych co w naszym naukowym piśmiennictwie. Oto dwa przykła-dy, pierwsze z brzegu, zacierpie-nie z faktów właśnie piśm.

W ostatnim numerze kwartalni-ka poświęconego dziełom ruchu robotniczego „Z pola walki” (Nr 2-3, 1973) w dziale miscellaneów znalazła się arcyciekawa publika-cja listów Kazimierza Dłuskiego do Georga von Vollmara z lat 1879—1880. Nie trzeba tu podkre-słać, że korespondencja działacza socjalistycznego tej miary, co K. Dłuski jest więcej niż ważnym

źródłem historycznym, że jej od-nalezienie w zbiorach Międzyna-rodowego Instytutu Historii Spo-łecznej w Amsterdamie ma istot-ne znaczenie dla polskiej nauki historycznej i tak dalej. Ale — i to wcale nie takie znów ba-gatelne — tego rodzaju źródła trzeba nie tylko umieć znaleźć, ale i umieć opublikować. Chwalił się, że pan Andrzej Głowacki je wyszukał, ale mam poważne wątpliwości, czy nauczył się, jak win-ni być je wydać.

Teksty K. Dłuskiego pisane są w języku francuskim; wydaw-ca powiada, że przy publikacji „zachowano pisownię oryginału, niektóre oczywiste błędy ortogra-ficzne sprostowano, co omówiono w tekście oryginalnym”. Nie chodzi mi już o lapsus, jaki się wkradł do tego zdania, ale o fakt, iż wydawca popoprawiał... zła francuszczyznę K. Dłuskiego na... jeszcze gorszą, a często nie poprawiał w ogóle. A przecież jest w kraju sporo osób, które mogłyby mu w tym pomóc. Także wśród członków redakcji pisma.

Drugi przykład jest bardziej drastyczny, dotyczy bowiem uczo-nego o tzw. „wielkim nazwisku” w naszej humanistyce. Redaktor naszego periodyku „Kultura i Społeczeństwo” Józef Chalasiński opublikował w numerze 2 z 1973 r. długi artykuł „Filozofia i profes-rownie filozofii” na Uniwersytecie w Warszawie w jego początkach 1816—1831”, oparty zresztą o sło-sownikową nikłą bazę informacyjną. Nie miejsce tu na przedstawianie jego oceny: różne mogą być style uprawiania humanistyki, różne są rodzaje piśarstwa naukowego, więc to, co jednego drażni, innym się może podobać. Znaczną część pracy poświęcon, została postaci Krystyna Lacha Szymy, którą niedawno przypomniał Władysław Chojnacki i Jan Dąbrowski w

pięknej, omawianej już kiedyś i przez nas, książeczce wydanej nakładem Olsztyńskiego „Polzie-rra”. Rzecz nie w tym, że prof. Chalasiński na prawie jedenastu stronach druku streszcza tekst tej książki; ezyni to niezmiernie in-teresująco, korzystając nie raz z okazji po temu, by podzielić się z czytelnikami również i własny-mi obserwacjami. Jak się ma coś do powiedzenia, można czynić to i w ten sposób. Ale czasem trzeba też coś sprawdzić, zanim się napisze. „Wybitna ksiązka napisana i wydana na „ślebokiej” prowincji. Ten fakt warto zapamiętać i wyciągnąć odpowiednie wnioski — zwłaszcza, że książkę tę odkrywamy w tym roku, w Roku Nauki Polskiej” — powiada autor. Rzecz w tym, że wystar-czało zaglądnąć do Informatora Nauki Polskiej aby przekonać się, że nie wszystko, co tu napisano, jest po prostu prawdą: Jeden z autorów dziełka o K. Lach Szymie jest od wielu już lat noto-rycznym warszawiakiem i pracuje w placówce PAN, która mieści się na tak dalekiej prowincji jak warszawski Rynek Starego Miasta.

A więc niezapominaj, jak napisał prof. Chalasiński, chociaż napewno jest niezmiernie sym-patyczne i godne podkreślenia, że książkę tę wydano w Olszty-nie. Świadczy to na pewno dobrze o ambicjach naszej „prowincji”. Optymistycznie zjawiska zdarza-ja się zresztą nie tylko tam. W którymś z przyszłych felietonów wygadnie nam zauważyć, że kom-pleks prowincji przewycięża także... Wydawnictwo Łódzkie. Napiszę o tym w związku z ogło-szoną przez nie piękną książką Andrzeja Zielińskiego „Początek wieku”, którą tymczasem polecam czytelnikom.

LEKTOR



Rys. A. Grun



POE

O Edgarze Allanie Poe mówi się, że miał życie najbardziej fascynujące ze wszystkich pisarzy amerykańskich. Nie wiadomo do jakiego stopnia jest to prawda - wiadomo natomiast, że twórczość literacka tego XIX-wiecznego pisarza do dziś fascynuje czytelników.

swego wieku, co Poe' - napisał o nim ktoś ze współczesnych. Pisarz sam dopisywał do swego życiorysu różne nie istniejące fakty - a to studia w Charlottesville, a to udział w walce o niepodległość Grecji... Tworzył wokół siebie atmosferę tajemniczości, bardzo zresztą w stylu epoki, ale zamazując przyszłym badaczom prawdziwy obraz jego życia. Książka Franciszka Lyry, wydana w bardzo pozytywnej serii 'Profile', ma ambicję ukazania czytelnikowi właśnie owego prawdziwego obrazu życia i twórczości E. A. Poe'ego. Myślę, że spore grono miłośników intrygujących opowiadań amerykańskiego pisarza - z radością przyjmie tę książkę.

Franciszek Lyra „Edgar Allan Poe”, Wyd. Wiedza Powszechna, cena 30 zł.

W KRĘGU „KAMENY”

Niedawno zmarły pisarz, Kazimierz Andrzej Jaworski, znany jest nie tylko jako poeta, tłumacz, prozaik i esejista, ale przede wszystkim jako twórca pisma literackiego „Kamień”. Dziś, po czterdziestu latach, to powojenne kłopoty pismo stało się w dziedzinie literatury i sztuki jednym z najważniejszych i jest to już czasopismo najstarsze z obecnie wydawanych.

Najnowszy tom dzieł zbranych popularnego KAJ-a nosi tytuł „W kręgu „Kamień” i jest swego rodzaju księgą pamięci pisarza i jego twórcy. Nikt, komu nieobce są dzieje literatury polskiej, nie może przejść obojętnie obok tej książki obojętne. Jest to bowiem pozycja kapitału. Zawiera cenne wspomnienia Kazimierza A. Jaworskiego, zawiera sylwetki ówczesnych ludzi pióra - często dziś zapomnianych, przynosi wybór artykułów w „Kamieniu” publikowanych i wreszcie prezentuje cenną antologię listów do „Kamienia”. Wśród bohaterów tej książki są ludzie tej miary, co Julian Przybós i Stanisław Czernik, Jan Brzeczowski i Lech Piwoński, Władysław Broniewski... Wybieram na chybił trafił. Znakomita, potrzebna książka, prezentująca szeroką panoramę literacką międzywojennego dwudziestolecia.

Kazimierz Andrzej Jaworski „W kręgu „Kamień”, Wyd. Lubelskie, cena 40 zł.

RODZINA REYMONTA

O tym, że Władysław St. Reymont naprawdę nazywał się Rejmont, uczył nawet dzieci w szkołach. Z okazji setnej rocznicy urodzin pisarza wiele na temat jego życia i twórczości napisano - wciąż jednak niepełna jest wiedza o losach Reymonta, niekiedy błędnie w sferze fantastyki...

Dlatego interesująca książka Stefana Talikowskiego ma szansę wypełnić tę lukę. Po pierwsze dlatego, że napisana jest interesująco, po drugie, że wydana została w zawrotnym jak na Wydawnictwo Łódzkie nakładzie 6 tys. egzemplarzy. Co prawda na książce nie widnieje adnotacja o przeznaczeniu jej do bibliotek szkół średnich, ale sądzę, że tam właśnie praca Talikowskiego trafić powinna. Zwłaszcza, że autor pokazuje pisarza w całej pełni i złożoności - jego u-sposobienia i słabości, jego krąg rodzinny, o których przecież wciąż za mało.

Stefan Talikowski „Reymont w kręgu rodzinnym”, Wyd. Łódzkie, cena 11 zł.

LITERATURA POWSZECHNA

Znakomite wydawnictwo na prezent gwiazdkowy - „Antologia literatury powszechnej”, ułożona przez Lesława Eustachiewicza. Zaczyna się ten dwutomowy zbiór od „Hymnów starobabilońskich” Kohele, „Odmianami czasu” Butora, „Kobieta z wędm” Kobo, Abbe i „Moona krwią” Soyinka - czyli tzw. nowa powieść.

Jest to dzieło jakiegoś dawno - a może nigdy? - nie było. Ponad 180 pozycji z literatury całego świata i z całego dorobku literackiego ludzkości. Oczywiście jak w wypadku wszelkich antologii, zawsze znaleźć można lukę: kogoś pominięto, kogoś może przedwcześnie uhonorowano. Ale na to nie ma rady - wybór antologii jest zawsze wyborem do pewnego stopnia subiektywnym. Można dyskusować, dlaczego brak Jesienina, a fest Paustowski, dlaczego nie ma Erenburga czy jeszcze kogoś... Faktem jest jednak, że Eustachiewicz zgromadził w swej antologii wszystko to, co w dziejach literatury najistotniejsze, że zaprezentował obraz dziejów literatury możliwie najpełniejszy i najwyszczególniejszy, jaki w konwencji antologii można skomponować.

Lesław Eustachiewicz „Antologia literatury powszechnej”, PZWS, cena 140 zł.

FILM CZY WARTO BYŁO?

Wojciech Has zdecydował się zrealizować film na motywach prozy Brunona Schulza, powstało „SANATORIUM POD KLEPSYDRĄ”. Decyzja ta, będąc niewątpliwie aktem wielkiej odwagi, mogła jednakże rokować nadzieję, że nie będzie mowa o czynieniu z wielkim artystycznym eksperymentem, dla którego gwarantem byłaby umiejętność poznania dzieła adaptowanego oraz sama materia filmu, gęłka w rękach tego, który zna jej możliwości.

Poznanie twórczości Brunona Schulza znacząco w tym konkretnym przypadku rozszyfrowanie sposobu istnienia jej świata w wymiarze określonym przez pisarza „trzydnastym, nadliczbowym i niejako fałszywym miesiącu”. W świecie opowiadań Schulza rzadko bowiem nie fizyczne lecz psychologiczne prawa, zaś zdarzenia, postacie, przedmioty i pejzaże dzieją się czy istnieją na krawędzi normalnej rzeczywistości i realnego czasu. Jednocześnie ten świat zawarł w sobie ulamki rozbitych, ale dające się wyprowadzić autobiografii, pisanej w bardzo konkretnej rzeczywistości galicyjskiej prowincji. Toteż jest ona nosicielem całego kompleksu zagadnień społecznych, mających dziś już swój historyczny wymiar, a także spraw bardzo osobistych, w których rodzina, erotyka, świat dziecięcy

marzeń, to główne kręgi tematów i obsesji.

Wojciech Has, czytając Schulza znalazł owe tematy i ich potwierdzenia poszukiwał w samej biografii pisarza i w twórczości, która towarzyszyła literackiej, to znaczy w rysunkach Brunona Schulza. One to miały swój niezaprzeczalny wpływ na kształt filmowej transkrypcji opowiadań. Ten sam Wojciech Has nie dostąpił chyba jednak aktu poznania pełnego, bowiem tajemnice pisarskiej narracji i stylizacji Schulza pozostały dlań nieznane. Świadczy o tym jego film. I doprawdy nie chodzi tu o spór, czy poetycka proza Schulza jest przekładana na język sztuki filmowej. Spór ten byłby, jak rzadko, bezsensowny. Gdyby Has zgłębił formalne tajniki pisarstwa Schulza, znalazłby w nich odpowiedź na to, czy jego decyzja dokonania tej adaptacji miała swój sens, bowiem wszystko, co w prozie tej jest, w jej tematach i idei, istnieje wyłącznie poprzez takie a nie inne ukształtowanie formy. Jest to zresztą warunek określający byt każdego dzieła sztuki, to oczywiście, ale świat twórczości Schulza okazał się szczególnie niepodatny jakimkolwiek metamorfomom. By oddać Wojciechowi Hasowi sprawiedliwość, przyznać trzeba, iż w obliczu pewnej bezsilności wobec dzieła zastanego,

sygnał do źródeł dodatkowych, o których była mowa wcześniej. One to skierowały wyobraźnię reżysera na tor innych aniżeli w samej prozie znalezionych tematów i ich artystycznej wizji.

Film Hasa w ostatecznym swym kształcie stał się próbą odzwierciedlenia świata zasztywnionego w twórczości literackiej Schulza, lecz eksplikowanego w sposób bardziej oczywisty w jego rysunkach i obrazach, dopełnionego przez współczesną świadomość społeczno-historyczną. Rekonstrukcja zaginionego świata żydowskiego, określonego miejscem i czasem, obyczajem i folklorem, religią i rytuałem, nie jest w filmie Hasa rekonstrukcją wprost, bo nie o nią chodziło. Ujawnienie pewnej judajskiej metafizyki, zróżnicowanej z wszystkimi wyżej wymienionymi elementami dokonało się w filmie Hasa jak gdyby poza prozą Schulza. I te „czyste” partie filmu są jego głównym i niekwestionowanym pięknem, fascynującym, niezwykłym i egzotycznym dla wielu pokoleń potencjalnych odbiorców. Ich urodzie, budowanej atmosferze, przestrzeni, sztafżem rekwizytów, szczegółem obyczajów i rytuałów oprócz się trudno. Pozostają one w sprzeczności z tym, co w filmie miało być przeniesieniem innych motywów i klimatów opowiadań Schulza. Wędrowka w kraj dżelfiństwa, jego marzeń i erotycznych fascynacji, obsesji ojca, nie znalazła w filmie Hasa już nie tylko adekwatnego odniesienia do prozy Schulza, bo było to niemożliwe, lecz po prostu nie urzeczywistniła się w samej filmowej już tylko kreacji. Obrazowa konkretyzacja wędrowki bohaterów w czasie i przestrzeni,

tam, gdzie znajduje swe źródła w czymś odległym, zaginionym dziś, ale kiedyś rzeczywistym, jest w filmie bardzo piękna; tam, gdzie odwołuje się już tylko do czystej wyobraźni i gry skojarzeń, tam staje się nie zamierzonym pięknem. Trudno skomponować w jednorodną całość elementy piękna i kiczu. Dlatego film Wojciecha Hasa, jeśli patrzmy nań wyłącznie jako na dzieło samostoisne, nie obciążone nawet świadomością pierwowzoru, jest swobodną rekwizytownią, w której trudno mówić o ładzie i selekcji wartości. Kompozycja dzieła jest wyznacznikiem jego idea, niedostatki kompozycji „Sanatorium pod Klepsydrą” są też filmu tego grzechem. I na to chyba nie było rady, jeśli reżyser szukał rozwiązań w banalnych sposobach, choć niby tak kunstownie szufladkowych układach kompozycyjnych, opowiadania tego, co nie w narracyjnej technice lecz poetyckich skojarzeniach w twórczości Schulza tkwiło.

Jeśli więc w filmie Wojciecha Hasa i jego scenografów - Lidii i Jerzego Skarżyńskich - szukać piękna, to w immanentnej urodzie wielu obrazów szczegółowych, wyzwolonych z literatury i żyjących czystą materią kina. No tak, ale to za mało, by powstał pełny, rządzący się własną logiką zdarzeń, jednorodnością stylu i klimatu oraz świadomością ideał spektakli filmowych, nawet, jeśli zapomniemy, że u jego źródeł stał pierwowzór, któremu chcieliśmy odczekać nowy jego sposób istnienia.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

PROFESOR NA DRODZE

Sztuka, która chce mówić głosem wypowiedzianym traci tożsamość i staje się publicystyką. Film jako „najważniejsza ze sztuk”, bywa szczególnie podatny na doradne sugestie. Zawężenie społecznej roli filmu tylko do portretowania powszedniości, wypranego z głębszych znaczeń moralnych, ideowych i psychologicznych odbiera filmowi rzeczywistą siłę oddziaływania. Tą siłą przypisaną prawdziwej sztuce było, jest i będzie pobudzanie wrażliwości etycznej, myślowej, także estetycznej. Wartości ideologiczne nie powinny być trywializowane, gdyż wtedy nieuchronnie tracą swoje znaczenie. Zapominanie o tej prawdziwości powoduje wręcz przeciwnie do zadań, których po-

prawne wykonanie musi zniweczyć jego humanistyczną rangę. Nie atakuję tutaj sztuki zaangażowanej. Przeciwnie. Bronię jakości zaangażowania. Bowiem pryncypialność jest potrzebna również w myśleniu o sztuce.

Chcę podzielić się swoją oceną filmu autorstwa łódzkiej realizatorów (Henryk Czarniecki - scenariusz, Zbigniew Chmielewski - reżyseria) pt. „Profesor na drodze”. Film ten zrealizowany w zespole „Silesia” został ostatnio nagrodzony przez ministra oświaty i wychowania. Pojmuję doskonale intencje ministra, który film wyróżnił, a jeszcze bardziej intencje autorów, którzy taki film nam pokazali. Chodzi o wielki społeczny wysiłek, przed którym stoi-

my, chodzi o hasło „Polska krajem ludzi kształcących się”. Powszechna mobilizacja energii społecznej w tym kierunku jest bardzo pożądana wobec cywilizacyjnego zapóźnienia naszego narodu, które od kilku lat gwałtownie odrabiamy. Systemem nauki wieczorowej i zaocznej staramy się dogonić oświatowe zaniedbania. Jest to polityka bardzo słuszną, ale jednocześnie stanowi jedyną wyścieś z impasu, który od lat narastał. Jest to zatem względny krok naprzód, ponieważ jest to ciągle wyrównywanie opóźnień. Tempo tego równania niesie nieuniknione straty w dokładności tak przebytej edukacji.

„Profesor na drodze” podejmuje zamiar możliwie wszechstronnego ukazania problemów ludzi, którzy z ogromnym nakładem sił zdecydowali się kontynuować niegdys przerwaną naukę. Ta wszechstronność zawyła na dramaturgię filmu. Stanowi on luźną serię epizodów - sytuacji, w których poznajemy kłopoty i dylematy bohaterów połączonych w dojrzałym wieku wspólną ławą szkolną. W filmie imponuje dokładna znajomość realiów opisywanego środowiska. Są tu zdarzenia pomysłane bardzo plastycznie i swoim życiowym prawdopodobieństwem. Henryk Czarniecki jest nauczycielem w łódzkiej technikum, a więc pomysły niosło mu samo życie. Jednakże mały realizm, który patronuje temu utworowi jest dość tanim przepisem na sztukę.

„Profesor na drodze” jest fil-

mową publicystyką o dość letniej temperaturze. Sądzę iż ta letniość wzięła się z zamiaru wyrażenia tej ciekawej i trudnej problematyki językiem kina fabularnego. Przepisywanie z życia daje w filmie fabularnym dobre efekty pod jednym warunkiem: trzeba być dobrym stylistą. Takim, jak Forman w „Milości blondynki” lub Truffaut w „400 batów”. Wiem, że jestem w tym momencie demagogiem, ponieważ pomiędzy przywołanymi przykładami a reżysowanym tutaj filmem rozciąga się ogromna przepaść mierzona skalą talentu. Dlaczego wszakże, kiedy mówimy o kinie polskim zbyt często musimy popadać w tego rodzaju demagogię?

„Profesor na drodze” jako żywo przypomina filmową „czytankę”, z której dydaktyzm wylał jak sztydo z worka. Wylał tym łatwiej, że worek jest dziurawy ze względu na dramaturgię, która uniemożliwiła rozbudowanie psychologii. Były dwa sposoby pokazania tego społecznego ważnego tematu. Zrealizował film dokumentalny przy zachowaniu dotychczasowego kształtu dramaturgicznego albo wyjąć jeden z wątków i stworzyć dramat fabularny o gesty psychologii. A taka możliwość w tym temacie istniała. Powstał jednak skądinąd sympatyczny obrazek obyczajowy jakich wiele. Zbyt wiele. Takie sobie ni to, ni owo...

Wesołych Świąt!

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

ANDRZEJ GRUN FRYZURY



- Stary! Widziałem barana!
- Głupia sprawa...
- Szedł z pitnocy na południe...
- Uuuuu...!!!
- Miałeś, baranie mówić ludzkiem głosem.
- Aaaaaa...!!!
- Oto potworne skutki mitu...
- Eeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeee...

MUZYKA

DŹWIĘKI ROZBRZMIWAJĄCE W PUSTCE

Ow rodzaj muzyki, o którym jedni mówią tylko „przez wielkie M”, inni zaś - w braku lepszego określenia - nazywają muzyką poważną, nie ma w odczuciu Chopina i Szymanowskiego szczególności dla słuchaczy, pomijając wysięgi tj. konkursy muzyczne, kiedy to staje się najważniejszą, czy nasz „pobit” obcego. Ale też - jak miłaby nie zniechęcać profesorów ponura obliczenia obecności z tą jakby nieuleczalnie cierpiącą siostrzycą tamtych, którym przypadło pogodzenie miłano: czy to muzyki lekkiej, czy rozrywkowej czy zgoła tanecznej. No i biegają niektórzy w zалоły do podkaszanych muz. nie przecuwajac wcale, że z tą właśnie zaniedbywaną można zaznać najwyszczególniejszych uciech i radości. Jak to ze „stuprocentową” artystką. Ale że nie wolno dać się zarzą na początku odwieść od głównego zamierzenia przez dysgresję, w dodatku prowadzące na manowce

skojarzeń, wrócić do pustego audytorium muzyki artystycznej zwanej poważną. No, jeszcze opera dzięki swojej teatralnej komponente prosperuje niezłe (łódzka wręcz znakomicie), ale już filharmonie, będące przybytkami „czystej” muzyki i symfonicznej, kameralnej, oratoryjnej, działają w społecznej próżni i dobrze jeśli na tym jednym tygodniowo (raz powtarzanym) koncercie zapełniają przeleżnięte polowe salki, tymi samymi zresztą słuchaczami. Nie inaczej w Łodzi. Wniosek? Nie wolno, moim zdaniem, dobić filharmonii milczaniem, trzeba o tym, co się tam dzieje, jak najszybciej pisać, nie tyle i nie tylko dla podzielenia się krytycznymi spostrzeżeniami z tymi, co do niej chodzi, ale i dla „naprzykrzenia” się tym, którzy tam nigdy nie zaglądają. Pisać nie tylko fachowo, ale i z dyktandem melomana, któremu za mandat wystarczyć musi nieraz

wierność uczuć, zwłaszcza jeśli wśród profesjonalistów mało kto do tej roboty skory.

Byłoby to trochę nieuczciwie, gdyby tak nagle, kiedy sezon koncertowy zbliżył się do półmetka, poświęcić specjalną uwagę którejś z ostatnich imprez, jakby od niej miał zacząć się punkt zwrotny w muzycznym zrywie. Takimi ewenementami nie było ostatnimi czasy, trwał natomiast od września pracowity sezon, wypełniony (zdajmy sobie z tego sprawę) cotygodniową „premierą”. W sumie w okolicy czterdziestu koncertów sezonu ponad setka utworów wykonywanych w danym sezonie najczęściej ten jeden raz, a wśród nich pozycje wykonywane raz na wiele lat, nie mówiąc o granych przez ten zespół i w tym mieście zupełnie po raz pierwszy. Oto miara obciążenia filharmoników, nieznanego w innych placówkach muzycznych.

Z perspektywy półmetka nie można zapomnieć podniosłego momentu inauguracji sezonu wspólnym koncertem, prowadzonym przez kierownika artystycznego - Henryka Czyżę, który wypełnił wykonanie „Małej mszy uroczystej” Rossiniego przez orkiestrę symfoniczną i chór Filharmonii Łódzkiej, z udziałem świetnych solistów, „od razu jednak zwrócić my na to uwagę, że znakomity artysta tylko jeszcze jeden raz w tym sezonie stanął u nas za dyrygenckim pulpitem, nadal bowiem pełnione jeszcze w tym sezonie obowiązki „Generalmusikdirektora” w Dusseldorfie nie pozwalają mu pojawiać się u nas wiele częściej niż w gościnnej zasadzie. A chętniebyśmy go nie tylko częściej słyszeć, ale i mieć przedświadczenie, że zespół jest w jego systematycznej plecy.

Nasz znakomity zespół, jeden z

lepszych w Polsce, czego świadomością chyba nie zakorzeniła się w dostatecznym stopniu w łódzkim społeczeństwie (stąd może tak niska frekwencja w gmachu przy Narutowicza), podlega jednak w ostatnich latach, przejściowym, być może, fluktuacjom kadrowym. Ten i ów muzyk, ulegając intrygantnym propozycjom zagranicznym, angażuje się na sezon lub dwa, by potem wrócić, jak np. nasz wyborny koncertmistrz, Zenon Hodor.

W pierwszej połowie sezonu mieliśmy możliwość słyszeć zespołu sporej garści interesujących solistów i dyrygentów, w tym zagranicznych gości, podziwiał doskonałe orkiestry Hessische Rundfunk i kameralistów z Zagrzebia. Obserwowaliśmy też piękny rozwój powiększonego ostatnio chóru, wyraziłbym jedynie niepokój z powodu tak rzadkiego udzielania się niedawno powstałej, a tak dobrze zapowiadającej się orkiestry kameralnej Kazimierza Kudanowskiego, wyłonionej z zespołu symfonicznego.

Tak więc życie muzyczne miasta, wypełniane w istotnej mierze przez placówkę filharmoniczną, znaczone szeregami wiele udanych koncertów; a wolne od imprez całkowicie chybionych, schodzących poniżej przyzwoitego poziomu wymagań, reprezentuje w sumie poziom artystyczny godny kulturowej pozycji i realnych aspiracji Łodzi. Trzeba jednak nieustannie budować pomosty za interesowania pomiędzy filharmonią a społeczeństwem. Myślę, że przede wszystkim ciągle za mało tych, co się wokół tego trudzą.

JERZY KWIECINSKI

## POWIĘKSZENIA

### Z JAKIEJ POZYCJI?

Nasza ulubiona gazeta centralna z uporem propaguje różne sprzęty w rubryce „Podróże po mieszkaniu”. Tym razem zaleca: „Nie wolno pozostawiać żelazka samemu sobie (...) Po włączeniu prądu żelazko sypoczyć musi w pozycji półstojącej...”

Nie możemy się oprzeć wrażeniu, że ta osobliwa rubryka naszej ulubionej gazety redagowana jest w pozycji półmysiacej.

### INFORMACJA WŁASNA

Nasza ulubiona gazeta warszawska pisze 9 grudnia 1973 r. „Proponuje się m. in. zorganizowanie wspólnie z łódzkimi autorami tekstów piosenek comiesięczną Giełdę Piosenki, która odbywałaby się w Klubie Dziennikarza. W imprezie tej partycypowałyby Łódzkie Towarzystwo Muzyczne i SDH „Centrala”...”

Notę zapożyczono z sygnatury „Informacja własna”. A teraz informacja nie własna, lecz prawdziwa. „Giełda Piosenki” istnieje od października. Odbyły się już trzy koncerty, na których zaprezentowano kilkanaście premierowych piosenek. Trzykrotnie gościły te koncerty na antenie PR, także w programie ogólnopolskim. Wszystkie łódzkie gazety (także „Odgłosy”) publikowały sprawozdania z koncertów... To wszystko, o czym nasza ulubiona gazeta centralna pisze, że „propozycja się nie” zostało już zrealizowane. Koncerty odbywają się w Klubie Dziennikarza i kawiarni SDH „Centrala”, który finansuje całą imprezę. Redakcja Muzyczna PR w Łodzi patronuje „Giełdzie” wspólnie z LTM... Słowem impreza od paru miesięcy wystartowała i została dobrze oceniona przez łódzką prasę. „Informacji własnej” nie oceniamy. Mówi sama za siebie.

### REKLAMA

Od jakiegoś czasu telewizja serwuje nam o różnych porach dnia taką migawkę: rzeźba „Myśliciel” Rodina — zbliżenie — taśma maszyni liczącej i napis: „szare na złote...” Co to jest? — pytają nas czytelnicy. Odpowiadamy — jest to reklama szarych komórek. Do wynajęcia.

### PRZEBÓJ SEZONU

Sprawozdawczo-sportowa liryka w „Głosie Robotniczym”, zatytułowana „W tej walce piłka nie skakała”. Za to reporter podskoczył i przeskoczył samego siebie.

„Bez potrzeby gaszenia, piłka siadała na ziemi, a gdy ktoś na hancie porwał się na przebój, piłka przy jej prowadzeniu wytracała szybkość i nawet lotny Gadocha nie byłby w tych okolicznościach zdolny do wygrania swego zrywu...” Koniec cytatu.

Ale reporter porwał się na przebój, choć jest mniej lotny niż Gadocha. Jest to sprawozdawczy przebój sezonu.

„Nieobliczalna piłka robiła balona z walczących o nią...” Koniec cytatu.

Zupełnie nieobliczalny stylistycznie reporter robi balona z czytelników.

Jest i trochę ornitologii: „piłka jak sparalizowany ptak siadała na ziemi”. Była to odmiana paralizu, zwana „paraliz futbolu”.

„Wszystko wyjaśnia ostatnie zdanie na temat meczu: Rosgrano go w anormalnych warunkach, w których walory techniczne zeszy na plan drugi, a o powodzeniu decydowała ofiarności...”

Podobnie w sprawozdaniu, walory techniczne reportera zeszy na plan drugi, zdecydowała językowa ofiarności. Jak widać anormalnymi warunkami i ofiarnością wytłumaczyć można wszystko.

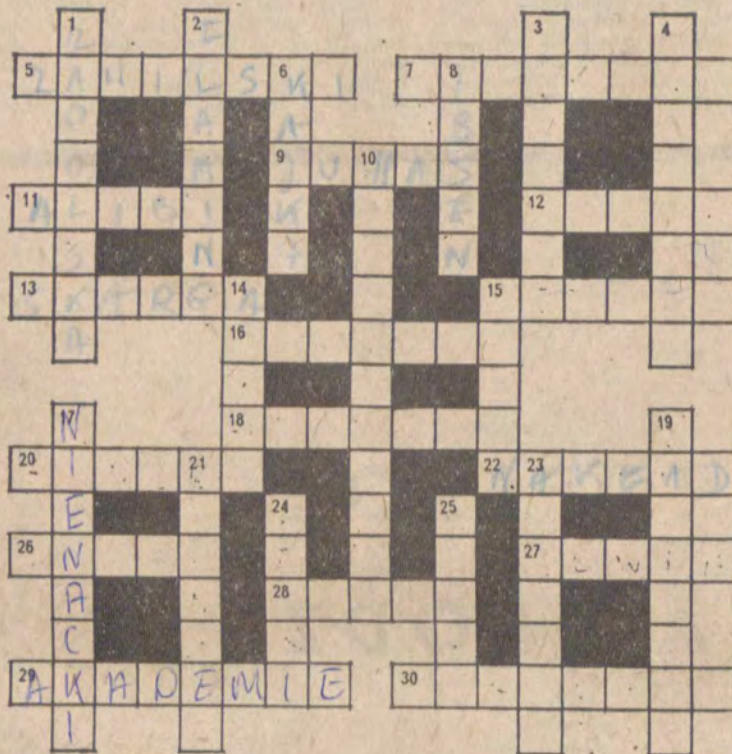
### KROK DO TYTUŁU

„Zrobił krok do tytułu i chwycił Pietrigo za ucho. Jego ruch był tak nieprawdopodobny...” — fragment powieści z „Expressu Ilustrowanego”.

Zrobiliśmy krok do tytułu, który brzmi: „Święty igra z ogniem”. „Express” natomiast igra z polszczyzną.

### POZIOMO:

- Autor powieści „Złota szabla”, „Kamienne zegary”, „Szkłane zbrocze” — były kierownik literacki Teatru Powszechnego w Łodzi (1955—59)
- Literat łódzki — autor powieści „Szósta Bateria”, „Nagrody i odznaczenia”
- Pomocnik bacy
- Dowód niewinności dostarczony przez podejrzanego
- Miasto w Czechosłowacji (pł-zach. Słowacja)
- Autor „Kazań sejmowych” i „Żywotów Świętych”
- Polski napój alkoholowy podobny do whisky
- Imię męskie
- Przeciwieństwo syntezy
- Prozaik, poeta, autor sztuk scenicznych — autor powieści „Osaczeni”, „Spadek”, „Pamięć serca”
- Całość wydrukowanych egzemplarzy książki
- Centralny organ Włoskiej Partii Komunistycznej
- Przedstawienie złożone ze skeczy, monologów, piosenek i tańców
- Poeta, prozaik, publicysta, tłumacz Petrarcki — autor powieści „Janosik”, „Zabijcie Barabasza”, „Pod przełęczą”
- Nazwa niektórych wyższych uczelni
- Autor słuchowisk radiowych, autor książek dla dzieci („Trójka ze sprawowania”, „Kamienny bruk”, „Niepewność”)



### PIONOWO:

- Pisarka polska (1860—1921) — „Kaśka Kariatyda”, „Zabusia”, „Ich czworo”
- Ptako b. dużych nogach
- Poeta, bajkopisarz („Żywot Ezopa Fryga”, „Raj duszny”)
- Prozaik, autor powieści „Gdy słońce gaśnie”, „Powstań synowie ognia”, „Neurodzaj”
- Ludowy poeta mazurski działacz społ. (1858—1940)
- Wybitny dramaturg norweski („Dzika kaczka”, „Upiory”, „Wróg ludu”)
- Dramaturg i poeta, jeden z twórców ekspresjonizmu niemieckiego — autor dramatu „SYN” — oraz tragicomedii „Münchhausen”
- Pierwszy szef Tymczasowego Rządu Rep. Algierskiej.



Fot. W. Parys

- Popularna pisarka francuska („Pewien uśmiech”, „Za miesiąc, za rok”)
- Łódzki prozaik, autor sztuk scenicznych, powieści dla młodzieży („Uroczyisko”, „Skarb Atanaryka”, „Pozwolenie na przywóz lwa”, „Wyspa złoczyńców”)
- Autorka powieści „Raróg”
- Poeta hebrajski, prekursor Odrodzenia we Włoszech, wiersze liryczne i satyryczne
- Autor sztuk scenicznych („Derby w pałacu”, „Aniol na dworcu”)
- Autor powieści „Bezdroża”, „Zmierzyć”, „Niespokojny zachód”
- Miasto nad Notecią w woj. bydgoskim

Oprac. J. KALUŻKA

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 15 stycznia 1974 r. na adres: „Odgłosy”, 90-103 Łódź, Piotrkowska 96, z zaznaczeniem na kopercie „Krzyżówka”. Wśród czytelników którzy nadesłają prawidłowe rozwiązanie, rozlosujemy pięć bonów książkowych po 150 zł.



Fot. Archiwum

## SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

### ERNEST HEMINGWAY

## KOMU BIJE DZWON

Robert Jordan leżał obok dziewczyny i śledził na twarzy zegarka upływający czas. Przemijał on powoli, prawie niedostrzeżalnie, bo zegarek był mały i Jordan nie mógł dojrzeć wskazówek sekundowej. Jednakże wpatrując się w tę, która wskazywała minuty, stwierdził, że może nieomal zatrzymać ją natężeniem myśli. Brodą dotykał głowy dziewczyny i kiedy obracał się, by spojrzeć na zegarek, czuł pod policzkiem jej przyszywane włosy, miękkie, ale prężne i jedwabiste jak futerko kuny, które podnosi się pod dłońmi, kiedy otwierasz pulapkę, wyjmujesz zwierzątko i trzymając je przyglądasz się sierść. W gardle coś mu nabrzmiwało, gdy dotykał policzkiem włosów Marii, a kiedy ją obejmował, czuł drżący ból, który rozchodził się od krtani po całym ciele. Pochylił głowę i przybliżył oczy do zegarka, na którym spiczasta jak lanca, świetlista igielka przesunęła się z wolna po lewej stronie tarczy. Widział teraz wyraźnie jej ruch i przytrzymał mocno Marię, żeby go zwolnić. Nie chciał jej budzić, ale nie mógł leżeć spokojnie teraz, kiedy nadeszła ostatnia chwila, więc musnął ją wargami za uchem i po szyl, czując gładkość skóry i miękki dotyk włosów. Widział poruszającą się wskazówkę zegarka, przycisnął Marię jeszcze mocniej do siebie i czubkiem drżącego języka przesunął po jej policzku, do muszli ucha, a potem wzdłuż jego przesłonicznych zwojów aż do rozkosznie jedynego obrąbka u góry. Pociągnął, że poprzez cały drżący, wewnętrzny ucisk przenika go dreszcz, i spostrzegł, że wskazówka zegarka podchodzi pod ostry kąt do góry, gdzie była godzina. Obrócił głowę śpi-

cej Marii i przyłożył wargi do jej warg. Przytrzymał je tak chwilę, lekko dotykając obrzmiałych ze snu ust, i łagodnie porwał wargami wargi dziewczyny czując ich delikatną szorstkość. Obrócił się do niej i poczuł, że po jej smukłym, przesłoniczym, lekkiem ciele drżenie drżenie: westchnęła przez sen, potem, wciągnęła przez sen, objęła go także i nagle ocknęła się, jej usta przywarły twardo, mocno do jego ust, a on powiedział:

- Ale ten ból...
- Odpowiedziała:
- Nie, nie ma bólu.
- Króliczku...
- Nie mów nie.
- Mój króliczku.
- Nie mów. Nie mów.

A potem byli razem, tak że kiedy wskazówka zegarka, na którą już teraz nie patrzył, posuwała się naprzód, wiedzieli, że jednemu z nich nie może zdarzyć się nic, co by się nie zdarzyło drugiemu, że nie może się zdarzyć nie więcej niż to; że to jest i wszystko, i zawsze — to, co było, jest i kiedykolwiek będzie. Mieli to, czego mieli nie mieć. Mieli to teraz i przedtem, i zawsze, i teraz, i teraz, i teraz. Och, teraz, teraz, teraz, jedyne teraz, nade wszystko teraz, i nie ma innego teraz niż ty, i ono jest twoim prorokiem. Teraz i na zawsze teraz. Chodź teraz, teraz, bo nie ma innego teraz. Tak, teraz. Błagam cię, teraz, tylko teraz, nie ma nic, tylko to jedno — gdzie jesteś, gdzie jestem i gdzie to drugie, nie pytaj, nigdy nie pytaj, jest tylko teraz; i jeszcze, i na zawsze, błagam na zawsze teraz, nie ma nic, tylko to jedno, a teraz już idzie, wznosi się, ulatuje, pedzi, toczy się, wzbija, coraz wyżej i dalej, i dalej, i już jest jedynym, tym jedynym, tym jedynym, tym jedynym, tym jedynym i ciągle jedynym, odpływając, miękko, tęsknie, łagodnie, szczytliwie, w rozkoszy, w uwielbieniu, i znów łagodnie, szczytliwie, w rozkoszy, w uwielbieniu, i znów na ziemi, z lokkami na uciętych, wygniecionych od snu gązdzach, w zapachu sośniny i noc, i już się spełniło, na ziemi, w świecie nadechodzącego dnia. I wtedy powiedział, bo tamto wszystko działo się tylko w jego myślach i dotąd nie mówił nic:

- Och, Maria, Kocham cię i dziękuję i dziękuję ci za to.
- A Maria odpowiedziała:

- Nie mów nie. Lepiej nie mówić.
- Muszę ci powiedzieć, bo to jest wielka rzecz.
- Nie.
- Króliczku...
- A kiedy przytrzymała go mocno i odwróciła głowę, zapytał cicho:
- Zabolalo cię, króliczku?
- Nie — odrzekła. — Tylko ja też jestem ci wdzięczna za to, że jeszcze raz byłam w la gloria.
- A potem leżeli spokojnie przy sobie dotykając się całą długością kostek, ud, bioder i ramion. Robert Jordan trzymał zegarek tak, żeby go znów widzieć, i Maria powiedziała:
- Mieliśmy wielkie szczęście.
- Tak — odrzekł. — Jesteśmy ludźmi mającymi dużo szczęścia.
- Nie ma już czasu spać?
- Nie — odparł. — Teraz niedługo się zacznie.
- To zjedmy coś, jeżeli trzeba wstać.
- Dobrze.
- Słuchaj. Nie martwisz się niczym?
- Nie.
- Naprawdę.
- Nie. Teraz nie.
- Ale przedtem martwiłeś się?
- Przez chwilę.
- Czy to jest, coś, w czym mogę ci pomóc?
- Nie — odpowiedział. — Dostę mi już pomogłaś.
- Mówisz o tym? To było dla mnie.
- Dla nas obojga — rzekł. W tym żadne z nas nie jest samotne. Chodź, króliczku, ubierzmy się.

(Fragment. Tłumaczył BRONISŁAW ZIELIŃSKI)

Ernest Hemingway (1899—1961). Wybitny pisarz amerykański — laureat nagrody Nobla z roku 1954. Jako dziennikarz wiele podróżował, brał udział w I wojnie światowej, walczył w Hiszpanii po stronie Republiki. Powieści „Komu bije dzwon” (1940) mówi właśnie o wojnie domowej w Hiszpanii. Ostatnie lata życia Ernest Hemingway spędził na Kubie.

10840-A

Prac. Rep.

